



OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

Zygmunt Mickiewicz

(C I A G D A L S Z Y.)

IX.

Hajdamacki matecznik.

Poniżej ujścia Rosi do Dniepru ciągnie się przestrzeń, pełna dziejowych wspomnień, odnoszących się do domowych wojen, które rozpoczynawszy się w r. 1648 żyłowały Polskę następstwami do ostatka. Na tej przestrzeni leży Subotów, który stał się iskrą, co padła na palne materyały. Na tej przestrzeni leży Czyhryń, stolica Chmielnickiego. Przedstawia ona dziwną krętanicę rzeczek i gór, trzęsawisk i lasów, płaczących się w labirynt, w którym rozpoznać się trudno. Na południe od Rosi, prostopadle do Dniepru, płynie Olszanka wijąc się niby wąż wśród mokrzydeł i rozlewając się u ujścia w wodną siatkę, przykrywającą sobą kilka kwadratowych wiorst. Dwadzieścia kilka grobel zastępuje jej drogę, dwadzieścia kilka stawów rozlewa się w jeziora. Na południe od Olszanki płynie Tasmin. On to jest sprawcą labiryntu. Wygiął się w znak zapytania i nastrępił się przytokami. Od Kniażego w północno-zachodnim kierunku dąży do Smiły; od Smiły się wraca, jakby cofając się przed rzuconem pomiędzy nim a Olszanką Białem Jeziozem, w obawie ażeby go nie pochłonięło, i równoległe do pierwotnego kierunku, równoległe do Dniepru, płynie ku południo-wschodowi, aż doszedłszy na wysokość własnych źródeł, ku którym wysła wer-

szecki przytok, zagina się na wschód wprost do Dniepru i wpada pod Hajduckim Ostrowem. Formuje więc przestrzeń siedm mil długą, cztery szeroką, którą opływa do koła, i przylegające do niego okolice można podzielić na: położone wewnątrz Tasminu i zewnątrz Tasminu. A ileżto wód zabiera z sobą! Zewnątrz Bałtycz, trzy Taszliki, rozlewające się w trzy ramiona stawiska Bałaklejskie, Irpeń; wewnątrz Wereszczankę, Rosatę, Kosarkę, Medwedówkę i pomniejsze potoki i ruczaje, nad którymi leżą wsie Prusy, Berezniaki, Jabłonówka, Udodówka, Hołowatyk, Hulajgród, Zabotyn, Hołowkiwka, Nowosielcy, Subotów, Janicz etc. Część przestrzeni zawarta pomiędzy przedujściowem ramieniem Tasmina a korytem Dniepru formuje wążki pas, a na tym jedna rzeczulka płynie na południe, druga na północ, a jedna i druga zabierają z sobą pomniejsze strumienie, przychodzące ze wschodu i zachodu.

Każde z tych wyżej wymienionych i niewymienionych rzeczek, rzeczulek, potoków, potoczków, ruczajów i strumieni, idących we wszystkich kierunkach na kompasie poznaczonych, co moment zmienia charakter. Tu płynie wśród trzęsawisk, tam wśród gór, dalej przerzyna się przez równinę, ówdzie przez piaszczyste pola, tu tonie w zielonem morzu oczeretów, utkanych kępami łożyny, ówdzie podmywa lasy, co drzemiąc szumią, gdzieindziej połyskuje wśród zbożem zasianych łąnów. Łatwo więc sobie wyobrazić, ile to przy-

padkowości gruntu co krok tu się spotyka, ile pozycyi! ile kryjówek! ile zasadzek!

To też tę przestrzeń, którą łożysko Tasmina obejmuje, nazwać można: matecznikiem hajdamactwa. Tam miało ono głównie swoje gniazdo i naturalny schron, mający plecy w siczowej rezerwie, z którą łączył ją Dniepr. Ztamtąd wyszło ono pod postacią wojen Chmielnickiego i wychodziło później pod różnemi innemi postaciami.

Wzdłuż Dniepru stały polskie pograniczne warty, kresy, postawione głównie przeciwko „hultajom“. Wewnątrz kraju zamki zamożniejszych panów obsadzone były zbrojeniami załogami, mającemi za zadanie tępić hultajstwo. Lecz jak wszystkie w świecie pograniczne warty i załogi, były one ciężarem dla ludzi spokojnych i podniętą dla awanturników, mających pod ręką taki Tasmin, który im służył jako niezdobyta twierdza. Oszukać czaty i wpaść w tasmiński matecznik: na tem zależała cała sztuka zdobycia punktu wychodniego. Zdobywszy punkt wychodni, reszta była już rzeczą łatwą, wchodzącą do kategorii wojennych podstępów i wycieczek, które znał na wylot każdy watażka.

Dowodem, jak Polska mało miała interesu w prześladowaniu prawosławia, posłużyć może to, że na przestrzeni tak małej, jaką zajmuje łożysko Tasmina, w mateczniku tak niebezpiecznym i tak urzędownie od czasu pierwszych wojen kozackich osławionym, istniało siedm prawosławnych monasterów. A nie było to żadne święte miejsce, żadna góra Atos-isce; przeciwnie było to schronienie hultajstwa, do którego się sami prawosławni przyznawać nie chcieli. Rząd polski przeciwko hultajstwu przedsiębrał środki, jakie mógł; monastery zostawiał w spokoju, wiedząc bardzo dobrze, że mają one z hultajami porozumienia, czego dowodem są poszukiwania, jakie od czasu do czasu po klasztorach czyniono, z których hultaje się śmieli powiadając, że:

— Durne Lachy! szukają hajdamaków za ikonostasami... niby to hajdamaka głupi, za ikonostas się chować!

Wyraźnie instytucję religijną oddzielano tak od przewinień pojedynczych ludzi, jako też od instytucji hajdamackiej, a ścigając te ostatnie, szanowano pierwszą. Za to że czerńce byli w stosunkach z hajdamactwem, pociągano do odpowiedzialności czerńców, ścigano hajdamaków, lecz nie burzono monasterów, pomimo że nie temu na przeszkodzie nie stało, wyjąwszy jedną... rzecz. Polska w samej naturze swego bytu, będącego *„zjednoczeniem w polityczny organizm wolnych i równych“*, nie ma nieprzyjaźni ani niechęci dla prawosławia. Nie mogła więc wpaść na koncept, że ażeby hajdamactwo wytępić, potrzeba prawosławne klasztory znieść.

W hajdamackim mateczniku łożyska Tasminu było ich siedm: Światoustieński pod Mosznami, Światospeński o małą milkę od Biełozierja nad irdeńskimi błotami, dwa Łebedyńskie niedaleko od Szpoły, Miko-

łajowski na kępie wśród trzęsawisk tasmińskich o milę od Subotowa, Anofriowski na pleskaczowieckiem porzeczu, i na koniec najślawniejszy ze wszystkich Motreneński na drodze z Zabotyńa do Medwedówki.

Ku temu ostatniemu dążył Prokop.

Wyprzedziwszy go, pierwszej bowiem niż on, stanął w monasterze ślepy liri k zapukał do gościnnych jego podwoi.

W owym czasie żywioł hultajski, prowadzący dotychczas rozsypkową wojnę przeciwko porządkowi społecznemu, jak się prowadzi zyskowne rzemiosło, począł się kupić i koncentrować ku przedsięwzięciu na większą skalę. O tem kupieniu się podania ludowe świadczą w następujący sposób: „Hajdamaków z samego początku przyszło z Siczy do Motreneńskiego monasteru tylko trzech, niby to na pokłon. I tak sobie, niby to nikczemny naród, jakby jacyś nieponie... chodzą bywało pochyleni. Jeden poszedł do monasteru Łebedyńskiego, nazywał się Damian Gnida; drugi nazwiskiem Łuskonóg, poszedł do monasteru Moszneńskiego, a trzeci, Szelest, został się w Motreneńskim. Przemieszkiwał tam lat ze dwa, a wciąż robił ratyszczę, skupował żupany, szarawary, czapki, buty. A jak kto spytał: „Na co to bracie!“ — odpowiadał: „Zaniosę gościniec do Siczy, bo tam wszystko to drogie, a narodu przybywa, więc trudno o odzież.“

Nie mam potrzeby rozwodzić się nad tem, czyj palec spędzał hajdamaków w organiczną całość, ani też, w jakim celu to spędzanie się odbywało. Ten ustęp dziejów polskich uhaftowany jest czerwonymi nitkami, przędzonemi białą rączką Semiramidy północnej. Moskwa dzierżyła Kijów, ustąpiony jej na lat dwa traktatem Andruszowskim (10. stycznia 1667) następnie na wieczne czasy Grzymałowski (1686), miała więc wygodną podstawę do działania; lecz wołała ognisko założyć w granicach Rzeczypospolitej, bo przez to i działanie maskowała i odrazu w Polsce szczepiła bolesny wrzód.

Organizowanie hajdamactwa nie było w hajdamaków interesie. Oni daleko lepiej wychodzili na prowadzeniu rzemiosła swego w sposób podjazdowy. Byli bowiem nieujętni. Zgromadzeni w wielką całość, mogli być z łatwością rozbici przez regularne wojska, otoczeni i wyłapani. Taka perspektywa nie mogła ich zachęcać, tem bardziej, że bynajmniej liczyć nie mogli na poparcie ludu wiejskiego, który się ich lękał i im nie sprzyjał. Z drugiej znów strony gabinet petersburski postępować musiał w tym względzie z pewną oględnością, raz dla tego, żeby się rzecz nie wydała, powtóre dla tego, żeby się udała. Rozłożył więc przygotowania na lata, a to w celu, aby zerwać owoc zupełnie dojrzały, do czego potrzebnymi były dwa warunki: zpropagowanie ludu i zgromadzenie dostatecznych materjałów do wykonania ruchu.

Tasmiński matecznik był ogniskiem tych prawdziwie podziemnych robót, był zbrojownią przyszłego ruchu.

W roku 1777 ani w 1778 rzecz nie była jeszcze przygotowaną. Lud nie był zpropagowany, a materyały, które posłużyły do wykonania rzezi humannej, jak się pokazało, bardzo wiele pod względem dostateczności do życzenia pozostawiały.

Uważałem za potrzebne zrobić kilka powyższych historycznych uwag, ażeby czytelnikowi nie tłumaczyć każdego frazesu rozmowy, jaką ihumen Motreneńskiego monasteru toczył z Tanasem.

Czytelnik domyślił się zapewne, że Tanas Lasiński był jednym z emisariuszy, wysłanych w celu propagowania ludu. Nie zdziwi przeto nikogo, że nie był on tym, za kogo się wydawał. Ślepy lirnik patrzył na ojca Melchizedeka oczami tak zdrowymi i naturalnymi, jakimi pan Bóg obdarzył dziewięć dziesiątych ludzi, którzy niniejszą powieść czytają. Zdolność chowania zrenic za powieki w głąb orbitów natchnęła mu myśl udawania ślepego, w celu użytkowania ludzkiego uczucia politowania na rzecz sprawy, której służył. Widok młodego ślepcy wywoływał zapytanie:

— Czyś ty ślepy od urodzenia?

— Och! nie... — odpowiadał — oślepił mnie Lachy.

Był to nader wygodny punkt wychodni do wytworzenia w słuchaczach litości, zadziwienia i ulokowania w ich pamięci przerażającej historii o spalaniu popa, popadi, popowicza i popówny.

— Przeklęte Lachy! — powiadali słuchacze.

Tanas był człowiekiem z nadto doświadczonym i wytrawnym, ażeby na jednym wykrzykniku budować miał rachunki, wymagające pewnych i dodatnich danych. Dla tego też na pierwsze zapytanie ojca Melchizedeka odpowiedział kiwaniem głową, oznaczającym powątpiewanie.

Rozmowa toczyła się w sali ihumena, wobec świadka, z którym zapoznanie się z daleka nie będzie dla czytelnika rzeczą zbyteczną. Był nim Afanazij Pankratiewicz Hochberger, pielgrzym z Kijowa, przybyły w celu pomodlenia się w monasterze i wręczenia przełożonemu bogatego mszału, darowanego przez imperatorowę. Afanazij Pankratiewicz miał rangę tajnego sówietnika i funkcję urzędnika do szczególnych poruczeń. To też dla tej funkcji wysłanym został przez Panina do Kijowa, a z Kijowa do Motreneńskiego monasteru z poruczoną mu szczególnie mszałą. Ihumen oddawał mu honory, jako człowiekowi wysoką ozdobionemu rangą, i nie robił przed nim żadnych sekretów, jako zapewne przed tajnym sówietnikiem.

W celi było ciepło, schludnie i dostatnio.

— Cóż przecie? — zapytał ojciec Melchizedek, człowiek nie młody i poważny.

— Chodziłem długo i daleko i siałem ziarna. Nie powschodziły...

— Nie powschodziły? — podchwycił Afanazij Pankratiewicz. A może powschodziły, albo później zejda...

— Później może i zejda — odparł Tanas — ale trzeba pracy długiej i wytrwałej.

Sówietnik głową rzucił.

— Tego też właśnie potrzeba... „Im powolniej jedziesz, tem dalej zajedziesz...“ Trzeba żeby pierwszej nasze wojska wyszły z Polski... a ich nagle wyprowadzać nie można, bo jeszcze porządek nie zaprowadzony.

Wyraz „porządek“ wymówił z przyciskiem.

— „Co nagle to diable“ — powiadają Polacy — wsunął ihumen, który doskonale po polsku umiał.

— Głupcy oni! — odrzucił sówietnik — rzecz w tem, ażeby wszystko robić w swoim czasie i z rozważą... Po wyjściu carskich wojsk, jeżeli się w jaki rok lub we dwa zrobi zawierucha, to wojska znów powrócić będą musiały... ażeby bronić prawosławnych i prawosławia; a gdyby się zrobiła teraz, to wojska nasze musiałyby przeciwko niej stanąć... Ot, i byłoby źle...

Ojciec Melchizedek włosy z nad czoła odgarnął i rzucił uwagę:

— A jeżeliby się Chmielnicznycyna zrobiła!

Sówietnik ręką machnął:

— Niech się robi, tylko bez nas... My wszystko damy, co potrzeba, ale po cichu... A tak jak rzeczy stoją, to jeszcze nie ma komu dawać.

Te wyrazy w zadumanie wprawiły ojca Melchizedeka. Sówietnik po chwili zwrócił się do Tanasa z zapytaniem:

— Cóż dalej?

— Lachy coś zamyślają...

Tu opowiedział o wszystkim, co w tym względzie widział, wiedział lub się domyślał. Ojciec Melchizedek opowiadania jego słuchał z wielkim zajęciem; sówietnik dość obojętnie. Tanas dał niektóre szczegóły o wędrówkach Krasieńskiego. Ihumen usłyszawszy to zawołał:

— Oho! kiedy się biskupi na takie sposoby biorą, to to nie jest bez kozery...

Nazwisko Puławskiego wywołało w nim jakieś wspomnienie, z których sobie jaśniej nie umiał zdać sprawy. Na wymówione nazwisko ojca Nikona podchwycił:

— Aha! — oddał mu mój list?

— Oddałem...

— Cóż on?

Tanas powtórzył wyrazy olchowieckiego proboszcza.

— Więc mu odezwę archimandryty perejasławskiego nie dałeś?

— Nie dałem, bo by był zniszczył, ałem ją pomiędzy jego książkami zostawił.

— Jeżeli znajdzie zdziwi się; a jeżeliby jakim przypadkiem wpadła w ręce Lachów, toby go oni chyba powiesili. A to taki wzorowy kapłan!

— Właśnie dla tego, niechby powiesili — rzekł Tanas z przyciskiem. — Kiedy na moje gadanie odpowiedział mi: „nie o wiarę chodzi, ale o to, że obcy monarcha do

nas się wtrąca,“ pomyślałem sobie: jakby to dobrze było, ażeby ciebie, starcze, którego ludzie niby świętego szanują, na męczennika za wiarę wykierować! On życiem swoim nam szkodzi; śmiercią pomódz może... I włożyłem mu odezwę archimandryty... i jeszcze wsypię mu święconych nożów do lochu... i jeszcze pod poduszkę wsunę mu inne pismo, niby odpowiedź na jego pisanie... i...

Skończył giestem.

— *Wot* u mnie człowiek, co się na interesach rozumie... — rzekł sowietnik wstając, zbliżając się do Tanasa i po ramieniu go klepiąc — *Małodiec! pranoza!* Ciebie by sama imperatrica *atliczyła!*

Jaworski spojrzał na Lasińskiego z ukosa z pewnym rodzajem wstrętu. Lasiński odpowiedział Moskalowi:

— Gdzież mnie biednemu popowi do *imperatricy*.

— Co ty myślisz! — podchwycił sowietnik — Potemkin był prostym trębaczem i patrz: *wot*, wytrąbił sobie księstwo... Spiszno ty tylko raport...

A potem dodał:

— Sam Panin lepiejby nie wymyślił... Tego popa, kiedy on Lach a przytem... *maszenik!*... taki święty i wzorowy, trzeba koniecznie zrobić męczennikiem prawosławia... Niech się Lachy własnymi zarzynają rękami!

Tanas się uśmiechnął tym szatańskim uśmiechem, co strzela z oczu pantery, gdy na zdobycz czatuje.

— Imperatrica cię wynagrodzi... Zostaniesz archijerejem, biskupem, tylko postarać się w swoim czasie jej o sobie przypomnieć. Ja to biorę na siebie, że ona będzie o tobie wiedziała...

— O! — podnosząc dłoń odparł Lasiński tonem pokory — Ja nie mam ambitnych widoków... Dla mnie dostatecznem wynagrodzeniem będzie parafia po ojcu Nikonie...

Na te słowa Moskal mrugnął i z uśmiechem powiedział w półzarcie:

— Ho!... musi tam być popówna, co mu w oko wpadła.

Tanas się powtórnie uśmiechnął, a w tym uśmiechu było pół-potwierdzenie pół-żartu Moskala. Ihumen zauważył:

— Przecież ojciec Nikon ma syna...

— Nie syna ale wnuka — poprawił Tanas — ale ten popem nie będzie... Puławski wyprawił go na zwiady, tu i na Zaporozie... Zapewne niezabawem do monasteru zawita, bo mu stary zalecił, ażeby się wam pokłonił; tu — rzekł dobitnie — można go będzie dalej nie puścić. Musi mieć przy sobie jakieś pisma, bo z samym językiem nie szedłby do Hrycia Szyła...

— Potrzeba zobaczyć co za pisma — podchwycił Moskal, zwracając mowę do ojca Melchizedeka. — Potrzeba mu zadać na spanie, przeczytać i... może się pokaże, że lepiej go puścić, niech idzie dalej... Szyło, Wasiuryński i wszyscy *złoumyszelniki* w Siczy są na oku. Potrzeba mu zadać na spanie, przeczytać i odpisać, bo lepiej mieć nitkę w

ręku, aniżeli ją urwać... Jeżelibyśmy urwali, to *maszeniki* zasnują inną, która nam może w ręce nie wpadnie... To już wasza rzecz, ojcie ihumenie...

Rozmowa pociągnęła się dalej, lecz my już jej nie będziemy powtarzali. Nie będziemy również robili przed czytelnikiem przeglądu monasterskiego życia, które z powodu zapewne zimy, albo też czujności stojącej w Zabotyńie polskiej komendy, było dość spokojnem. Czasami tylko w *smirennyi obiteli* pojawiała się jakaś postać, wyglądająca na kolija lub komysznika, z jakimś interesem, który we cztery oczy z ihumenem załatwiała i znikła. Kolije i komysznicy na zimę wynosili się za Dniepr, gdzie po karczemkach i futorach przeżywali zapasy nagromadzone w porach roku, w których okryte liściem lasy i zarosłe oczeretem trzęsawiska lub bodiakami pola dawały im bezpieczne schronienie. Zdradliwa zima, co nietylko szpik w człowieku, zmuszonym większą część życia pod gołym niebem pędzić, wymraża, ale jeszcze i po śladach na śniegu tropić pozwala, oczyszczała z nich tasmiński mactecznik. Nie było więc ich w zasypanych śniegami lasach i komyszach, nie zaglądali do monasterów. W Motreneńskim monasterze zakonnicy zwykłym trybem pełnili swoje obowiązki w ciszy i cieple. Dostojny pielgrzym z Kijowa odjechał, Tanas zajął się układaniem pewnego rodzaju memoriału dla *imperatricy*, wykazującego sposoby, jakich użyć należy, ażeby doprowadzić do tego, aby Lachy zarzynali się własnymi rękami, i w kilka dni po rozpoczęciu tej pracy do monasteru zawitał Prokop.

Ihumen przyjął go otwartymi ramionami i witał jak swojego.

— Bo to — mówił — pomiędzy Dobrzańskimi a Jaworskimi zachodzi dość blizkie pokrewieństwo. Dobrzańska, twego dziada siostra, była za moim stryjem, Maciejem Jaworskim... A chociaż Pan powiada: „ten jest bratem moim i siostrą moją, co słucha słowa mego“; ale przecie człowiekowi miło powitać swojego.

I gościł go serdecznie, uprzejmie, a pytał:

— Jakież losy cię tu zanosły?

— Mandruję, ojcie, po świecie — odpowiedział Prokop.

— Na Zaporozie wąż zmierza? — rzekł ihumen tonem żartobliwym.

Prokop chciał przeczyć, lecz ojciec Melchizedek nie dał mu mówić.

— Do czego to się wypierać! Jam tylko spojrzał na ciebie, a natychmiast domyśliłem się, że tobie nie do poposkiej rasy. Mam ja oko, co zamysły na wskrósź przenika, pomimo że o półtora dziesiątka lat młodszy jestem od twego dziada. Chce ci się pokozakować... Niech ci Bóg pomaga... Cieszy mnie, że idziesz na Zaporozie, to przynajmniej prawosławie w czystości zachowasz... O! bo biedne prawosławie w wielkim jest w tym kraju ucisku i poniżeniu...

Prokop nie zaprzeczył wręcz ostatnim wyrazom, lecz

opowiedział o rezultacie dowiadywań się swoich o prześladowanie.

— Mówiono o spaleniu rodziny popa Lasińskiego; byłem na miejscu i przekonałem się, że nietylko popa z rodziną nie spalono, ale żadnego popa Lasińskiego pod Kaniowem nigdy nie było. Mówiono o zamęczeniu Tytora z Mliowa; byłem na miejscu i dowiedziałem się, że Tytor został powieszony, ale nie za wiarę.

— Nooo... — podchwycił zakonnik przeciągle — toć to z wieściami tak się zwykle dzieje. Przechodząc przez usta rosną, rosną, i w końcu z kretowiny robi się góra.

— Tylko że te wieści ktoś umyślnie szerzy — odpowiedział Prokop. Przedemną szedł ślepy lirnik, którego widziałem w Buczaczu, który był w Olchowcu i opowiadał, że jest Lasińskim, synem spalonego popa... Po tamtej stronie Białocerkwi mówił, że rzecz się stała pod Kaniowem, a po tej stronie, że się odbyła pod Husiatynem, w Olchowcu.

— To są bagatele — rzekł Jaworski, ręką machnąwszy. — Ot, zwyczajnie jakiś ślepczura plótł niestworzone rzeczy, a żeby się obficie jałmużną obłowić.

— Ależ te niestworzone rzeczy z jednej strony szczepią nienawiść w duszy prawosławnego narodu, a z drugiej strony są wmawianiem w Lachów-katolików, że oni prawosławie prześladują, wmawianiem, które rozjątrzone wszczepianą nienawiścią skończyć się może na tem, że doprawdy Lachy do prześladowania się wezmą.

Zakonnik się na to uśmiechnął i pokiwał głową, odpowiedział:

— Ha! cóż robić... Przysłowie powiada: „Nosił wilk, po-

noszą wilka“... Rzeczy idą naturalną koleją...

— Oj, nie naturalną — podchwycił Prokop — Jest jakiś zły duch, co szatańskie dzieło pełni...

— Może to duch prawdy — odezwał się zakonnik tonem namaszczenia, i zmieniając nagle ton, rzekł:

— Ja tu siedzę w ustroniu, cicho, do niczego się nie mieszam, Pana Boga chwale, i tylko z wieści, jakie mnie dochodzą, wnioskuje, że było źle i będzie źle... Ale dajmy temu pokój... Musisz być zmęczony, zdrożony i głodny.

To rzekłszy, zaprowadził gościa do obszernej celi, w której było ciepło jak w uchu, a czysto, skromnie i wygodnie, aż się chciało zostać czerncem. Stolik, parę stołków, łóżeczko zasłane świeżą pościelą i krucyfiks na ścianie: oto całe jej umeblowanie.

— Rozgość się i spoczni... Ja z tobą pozostać nie mogę, bo iść muszę na modlitwy wieczorne, ale przyniosą ci tu posiłek, za który z górą wybaczą, bo u nas nie znajdziesz tego, co u katolickich mnichów... Oni bogaci, my ubodzy... Oni pijają miody, a my poprzestajemy na podpiwku własnego wywaru.

Wyszedł i nie długo po jego odejściu zjawił się w celi inny zakonnik,

który wniósł światło i posiłek, składający się ze słonej ryby, chleba i dzbanka z piwem. Prokop był głodny, a oczekiwanie na zapowiedziane jadlo zaostriżyło w nim apetyt. Wziął się do ryby, którą zmiótł do odrobiny, tylko oście na misce zostawił. Słona ryba rozwinęła w nim pragnienie. Zajrzał do dzbanka. Pociągnął raz, drugi i trzeci. Piwo było gorzkawe i dziwnego jakiegoś zapachu, makowy kwiat przypominającego. Ale, co mu tam było do zapachu! Zaspokoił głód i pragnienie, sen go zmorzył a tak gwałto-



Ku temu ostatniemu dążył Prokop. (str. 258).

wnie, że zaledwie miał siłę rozebrać się i światło zgasić. Rzucił się na łóżko i chrapnął. Przed zaśnięciem pomyślał sobie tylko:

— Co to jest? Ja jeszcze nigdy w życiu tak spać nie chciałem...

Zasnął jak kamień.

I wkrótce po zaśnięciu jego do celi ze światłem weszli: Melchizedek Jaworski i Tanas Lasiński. Weszli śmiało, mówili głośno, snadź nie lękali się obudzić śpiącego. Pierwszy usiadł na stolku, a drugi przystąpił do rewizji.

Nie będę opisywał rewizji, bo pod tym względem nic nowego nie potrafiłbym czytelnikom powiedzieć. Zapewne większa część większej połowy czytelników moich była rewidowaną przez komisarzy policyi. Owóż Tanas odbywał tę funkcję jak pierwszy lepszy komisarz, i po niedługim szukaniu w odzieży i butach odkrył na piersi śpiącego irchową czworograniastą torebkę a w niej list, zaadresowany do Hrycia Szyła, setnika zaporozkiego wojska, i zapieczętowany herbem rodziny Puławskich.

— Od tego listu — rzekł Tanas tonem dziwnego cynizmu, preperując gips do odlania pieczęci — zależy życie lub śmierć mego przyszłego szwagra...

— To masz niezmyślny zamiar, żenić się z wnuczką starego Dobrzańskiego? — zapytał ojciec Melchizedek.

— Mam ojcie — odparł zapytany powoli, nie zaprzestając roboty — zamiar nie tylko niezmyślny, ale silny i niewzruszony.

— Ożenienie przeszkodzi ci do kariery duchownej. Imperatrix będzie o tobie przez Afanazja Pankratiewicza wiedziała. Masz zdolności, możesz pójść wysoko, jeżelibyś wdział zakonną sukienkę... Świeckie duchowieństwo nie zapewnia kariery.

— Co mi tam karyera i zdolności...

I dodał z ogniem:

— Gdybyście ojcie Jerynkę Dobrzańską widzieli, tobyście nie mówili mi o karyerze i zdolnościach.

Odlał pieczęć, ostrugał ją nożykiem, położył na boku, ażeby stwardniała, otworzył list i podał go ihumenowi.

Ihumen przeczytał, zrobił wyrazisty giest i rzekł:

— Nie ma nic... Zapytuje, czy Zaporozce nie zamyślają poczynąć czego przeciwko rzeczypospolitej... Cóż oni zamyślają? Nic... To niech sobie idzie—tu oczami na śpiącego ukazał—O niczem nie wiedział i niczego się nie dowie... Trzeba ten list odpisać i w kopii posłać do Kijowa.

To rzekłszy, wręczył pismo Tanasowi. Tanas przebiegł je wzrokiem, pomyślał i zwracając się do Pro-

kopa, który słyszeć nie mógł, przemówił patetycznym głosem:

— Twoje szczęście! Szelest do sanek zaprzągi i czeka... Miał cię odwieść do Taśminu i pod płótkę puścić, i byłbyś zapłynął popowiczu, co z Lachami trzymasz! do Syczy... i byłoby ci wesoło wędrować w towarzystwie jesiotrów i raków... A tak... idź piechotą...

— Nie nazbyt, jak widzę, miłujesz przyszłego twego szwagra — odezwał się ihumen, wstając i do odejścia się zabierając.

— Oh!... ja go miłuję?... Na dobry porządek, dla tego samego, że on się dowiedział, iż żaden pop Lasiński nie był spalony pod Kaniowem, powinienem go mimo wszystko rakom na żer oddać, ale nie chcę się sprzeciwiać Afanazjowi Pankratiewiczowi... Znajdę ja jednakże na niego sposób...

Ihumen wyszedł. Tanas zasiadł do odpisania listu i przyrządzenia koperty, zupełnie podobnej do tej, która rozdarta została. Nie było to rzeczą trudną. Z podobnego papieru wyciął podobną kopertę. Adres przerysował za pomocą czarnej podkładki. Herb odcisnął za pomocą pieczęci z gipsu, która stwardniała jak kamień. Nie zabawiło godziny, a list napowrót w irchowej torebce spoczywał na piersiach Prokopa.

Prokop spał jak zabity. Lecz nie był to sen restaurujący siły. Na drugi dzień obudził się późno z ciężarem w głowie i opowiadał częstującemu go gościnnie ojcu Melchizedekowi:

— Nigdy jeszcze w życiu tak nie spałem... Przez całą noc dziwne rzeczy mi się marzyły, i chciałem się obudzić a nie mogłem.

— Boś się zapewne nie przeżegnał idąc do łóżka.

— Albo ja wiem! Nic nie pamiętam, tylko że byłem jak drzewo...

A kiedy go ihumen piwem traktował, zawołał:

— Och! dziękuję wam ojcie... To piwo ma jakiś dziwny zapach...

— Co ci się śni! Powąchajże i pij...

Prokop powąchał, pił i piwo mu smakowało. Z odurzenia jednakże nie mógł od razu przyjść do siebie. Na drugą jeszcze noc pozostał w monasterze i dopiero na trzeci dzień puścił się w dalszą podróż, serdecznie pożegnany i na drogę ubłogosławiony przez ojca Melchizedeka. Jakiś tylko mnich staruszek wsunął mu w ucho na odchodnym wyrazy, które mu się zagadkowemi wydały:

— Tylko nie zaprzepaszczajcie Polszy...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDIA W V AKTACH.

PRZEZ

ADAMA BĘLICKOWSKIEGO.

HELENIE MODRZEJOWSKIEJ

artystce dramatycznej

AUTOR.

POJAŚNIENIE.

Na początku XVIII. wieku na tronie polskim siedział August II., elektor saski. Człowiek bez charakteru, bez zdolności, ale z wielkimi planami i z większymi jeszcze pretensjami. Szlachecką Rplę pragnął okiełznać, nie mając po temu siły; wyzwał do walki Karola XII. jedynie przez zarozumiałość i junactwo. Tym fałszywym krokiem nie był on jednakże sam tyle winien ile ktoś inny, który znowu ze swej strony ani się może domyślać, że jest przyczyną cudzych błędów. Tym kim innym był Ludwik XIV.

Ludwik XIV. był słońcem tej epoki. Wszystko, co stało wyżej, wspinało się aż do wysokości tego słońca. Nie dziwota, że niejeden drogo swoją zuchwałość przypłacił.

Pomiędzy Tytanami szturmującymi do siedliska olimpijskiego Jowisza był także i August II. Stać się Ludwikiem XIV. na północy, było jego najwyższą ambicją.

Do przymiotów Ludwika XIV. należała galanteria i zdobywcze serce, za czem poszły także na dworze królewskim intrygi i rządy kobiące. Jeżeli w innych względach August II. nie dorastał nawet do kolan swego wzoru, to w tym, o którym teraz mówimy, nie było drugiej równie doskonałej kopii nie ustępującej w niczem oryginałowi. Natura skąpa zkądiną dla Augusta II., udzieliła mu szczerze zalet, które zapewniają szczęście u kobiet. Niemcy nad którymi panował, dali mu przydomek: silny; łamał on podkowy jak trzaski, a gwałcił talary jakby wosk. Również był on i piękny. Jego twarz duża i otwarta, z pogodnym, uśmiechniętym wzrokiem, z różanymi wargami, zdolnemi smakować rokosz i podnosić się wspaniałą dumą, magnetyczny wpływ wywierała na kobiety. Być pięknym jak poğański bożek i być królem, to dwa tytuły do powodzenia u nich.

Ad exemplum regis totus componitur mundus, to też dwór króla polskiego przybrał fizyognomię, w jakiej go jeszcze nie widziano.

Awantury miłosne, intrygi, komeraże i całe to powabne zepsucie, jakie prowadzi za sobą jedna z najszlachetniejszych namiętności ludzkich, jeżeli się nią źle pokieruje, ogarnęły stolicę i wyższe warstwy społeczeństwa.

W Rzeczypospolitej utworzył się teraz świat drugi, *status in statu*, z korzeniami silnie zapuszczonego w obcą dotychczas dla siebie ziemię. Zagraniczne zepsucie naturalizowało się u nas, zachowując jednak wszystkie swoje cudzoziemskie cechy wewnętrzne a nawet powierzchowność, podobnie jak w komedii, którą tutaj przedstawiamy czytelnikom, a która odgrywa się w Warszawie, choć nie ma w niej ani jednego polskiego nazwiska.

Tematem tej komedii jest jeden z epizodów miłosnej historii Augusta II. Król w tej materii mógł dziejopisarzowi dostarczyć wcale bogatej treści. To też powstało o tem osobne dzieło: *La Saxe galante*, które zachowało pamięci tryumfy króla i nazwiska jego szczęśliwych i nieszczęśliwych kochanek. Ich lista nie dochodzi wprawdzie do tak wielkiej liczby, jak ówa, którą Leporello odczytuje Donżuanowi, ale zawsze jest ona dosyć znaczna. Zwłaszcza iż trzeba także i to wziąć na uwagę, że August II. nie mógł się oddać wyłącznie tej jednej specyalności. Był on także i królem.

Te dwa obowiązki nie zawsze dadzą się z sobą dobrze pogodzić. Nasza komedia przedstawia Augusta II. właśnie w podobnej kolizyi. Wojna z Karolem XII. już się rozpoczęła, młody król szwedzki stoi na granicach Rpltej, gotów spaść jak huragan na państwo Augusta. W tej burzy tron elektora saskiego może zostać zgruchotany lub wywrócony, według tego, czy Karol XII. będzie walczył z Augustem sam, czy też przy pomocy licznej partyi malkontentów. August II. wie o tem, lecz sobie ufa; nie szczędzi zabiegów, lecz wierzy w siebie i w swoje szczęście. W takim usposobieniu lekkomyślność zwykła owładać ludźmi, a August II. bardzo był do niej skłonny. Jego serce ma także swoje prawa, musi się zakochać, bo dawno już nie doznawał świeżych wrażeń. Los rzuca mu pod nogi dziewczynę, która nie miała pojęcia, jak można kochać dla żartu, lekkomyślnie, z wyrachowania; ta dziewczyna oddaje mu się całą duszą.

Coś podobnego było rzeczą niespodzianą dla króla. Ale uczucie jak elektryczność udziela się za najlżejszym dotknięciem. Król mimowoli zajął się nią więcej niż zamyślał, niż mu okoliczności pozwalały, zaczął ją kochać więcej niż te kochanki, które na jego dworze panowały.

I cóż się stało? To co jest prawem ogólnem świata. Dysharmonia między rozsądkiem a uczuciem była zbyt wielka, uczucie w niestosownej porze wygórowało nad rozsądkiem, rozsądek z porządku rzeczy musiał się pomścić za swą krzywdę. Król nierozsądny, który się kochał w chwili, gdzie trzeba było myśleć o całości korony, o nieprzyjacielu i gotującej się wojnie, został pokonany, utracił państwo; nierozsądna dziewczyna, która śmiała żądać miłości królewskiej jakby od jakiego pasterza z sielanki, utraciła kochanka i całą przyszłość.

Na placu tego boju zostali ci nietknięci, którzy nie igrali nierozważnie z ogniem. Zimny rozsądek, który po-

skramia rozbijała fale namiętności jak Neptun wirgiliuszowski swoim: *quos ego*; który przyprowadza do równowagi wstrząśnięte władze naszej duszy, który rozumie dobrze, jak wielką jest władza czasu i okoliczności, on jeden wychodzi zwycięzko z tych zapasów i karze winnych jak na to zasłużyli... zostawiając nam wolność pożalowania nad obłąkanymi.

Taki jest sens moralny tej komedyi, która pomimo to, że przedstawia miłostki króla, tak osławionego jak August II., nie chciałaby się za żadną cenę wyrzec tej najwyższej ze swoich pretensyi, że nie jest bez sensu moralnego.

Osoby:

KRÓL AUGUST II.

PANI KOZEL.

PANI FESZEN.

RANDZAU, ADJUTANT KRÓLEWSKI.

DUVAL, WINIARZ.

HENRYKA, JEGO CÓRKA.

WILHELM, }

ROBERT, }

OFICEROWIE GWARDYI KRÓLEWSKIEJ.

SIERŻANT.

LEBEAU, KAMERDYNER KRÓLEWSKI.

OFICEROWIE. ŻOŁNIERZE. LOKAJE.

RZECZ DZIEJE SIĘ W WARSZAWIE ROKU 1701.



AKT PIERWSZY.

Sala na zamku. W głębi galerya z arkadami podniesiona nieco nad scenę.

SCENA PIERWSZA.

WILHELM, ROBERT I KILKU INNYCH OFICERÓW (wchodzą).

PIERWSZY OFICER. Zaciekawileś nas Robercie, opowiadając dalej.

KILKU OFICERÓW. Tak, opowiadaj, opowiadaj!

ROBERT. Czy pozwalasz mi mówić, Wilhelmie? Nie chciałbym cię rozgniewać...

WILHELM. Zapożno żadasz tego upoważnienia.

ROBERT. Jesteś obrażony?...

WILHELM. Bynajmniej.

ROBERT. Więc zezwalasz?

KILKU OFICERÓW. Zezwala, zezwala!

ROBERT. Słuchajcie zatem. Ale na czymże stanąłem?

PIERWSZY OFICER. Właściwie na samym początku. Mówiłeś jak znienacka naszedłeś Wilhelma.

ROBERT. Aha! i jak schwyciłem go na gorącym uczynku. No, nie oddalaj się od nas Wilhelmie, i posłuchaj jak będzie w moich ustach brzmieć ta historia. (Wilhelm odchodzi od oficerów i usiada na stronie oparłszy się o stolik.) Zbliżałem się tedy

do niego, przysięgam bez żadnej złej myśli. Szedłem dość głośno, jak się zwykle chodzi, pomimo to nie zwrócił uwagi na moje przybycie. Postrzegłem że jest pogrążony w jakiejś myśli, a raczej że dusza jego wyłącznie zajęta jakimś przedmiotem, który trzymał w ręku. Na palcach zaszedłem mu z tyłu, tuż o jeden krok od niego. W jego rękę ujrzałem zwitek włosów. Przez chwilę urzymał w nim utkwione oczy, potem przycisnął go do serca, potem do ust...

PIERWSZY OFICER. Zupełnie jak ci pasterze w operach, które król każe przedstawiać, ha, ha!

ROBERT. Kiedy już miałem dość tej pantominy, chciałem mu także ze swojej strony zrobić niespodziankę. Wyciągnąłem rękę przez jego ramię i w sekundzie stałem się właścicielem skarbu.

PIERWSZY OFICER. Ah! biedny Wilhelm!

DRUGI OFICER. Co za nieszczęście!

ROBERT. Druga sekunda wystarczyła, abym poznał czyje to włosy. Ha, szczęśliwy kochanku panny Duval! — zawolałem, jak bohater w tragedyi, odstąpiwszy na dwa kroki od Wilhelma, i w teże chwili zwróciłem mu wspaniałomyślnie swą zdobycz, wprzód zanim miał czas wyjść z osłupienia.

PIERWSZY OFICER. I Wilhelm przyznał się od razu?

ROBERT. Gdzie tam! zapierał się na wszelki sposób, że te włosy nie należały do panny Duval. Ale cóż robić? Oczy moje bystre i przenikliwe, a żadna inna kobieta w Warszawie nie ma takich włosów jak Duval. Tak mój Wilhelmie, dowiedzieliśmy się na koniec całej prawdy, do której nigdy przyznać się nie chciał.

PIERWSZY OFICER. Winszujemy, winszujemy ci Wilhelmie!

ROBERT. Udało ci się to, czego żaden dotąd nie dokazał. Powinieneś być dumny i szczęśliwy ze swego zwycięstwa.

KILKU OFICERÓW. Niech żyje Wilhelm!

WILHELM (powstawszy wchodzi między oficerów). Moi panowie, dosyć już tych żartów! Winienem wam wytłumaczyć całą sprawę. Przyznaję, były to włosy panny Duval. Ale nie wiecie, w jaki sposób przyszedłem do ich posiadania.

ROBERT. To właśnie rzecz bardzo ciekawa!

WILHELM. Dla honoru panny Duval jest mym obowiązkiem was oświecić. Panna Duval ma przecudne włosy; niedawno Robert wam powiedział, że drugich takich nie ma w Warszawie. Te włosy mogły się także mnie podobać. Pewnego razu siedziałem obok panny Duval w oknie winiarni jej ojca. Lekki wiatr rozwał jej włosy na skroni. „Cóżbym dał za to, gdybym mógł jeden z tych puklów posiadać” — odezwałem się do niej. Może wam się to wyda śmieszne, ja przyznam, że było dosyć nierozsądne. Panna Duval patrzyła wtedy na ulicę i w jednej chwili odrzekła: „Widzisz pan tę biedną kobietę z dzieckiem? Daj jej 30 talarów a dostaniesz mych włosów.” I to mówiąc, odcigła sobie pukiel.

ROBERT. Poznając Henrykę po tym czynie. Śmiała i przytomna dziewczyna.

WILHELM. Spodziewam się zatem, że wszelkie dalsze wnioski o moim stosunku do panny Duval po tem wyznaniu upadną na zawsze.

ROBERT. Nie tak prędko, mój panie! Cóżbyś powiedział, gdybym sobie kupił za 30 talarów włosów u perukarza, i przykładał je raz do ust, drugi raz do serca?

PIERWSZY OFICER. Nie masz powodu się zapierać. Podobny gust nikomu hańby nie przyniesie.

DRUGI OFICER. Lepiej się przyznać otwarcie.

PIERWSZY OFICER. Kochasz się w Henryce?

DRUGI OFICER. Jakże dawno zaczęła się miłość?

PIERWSZY OFICER. Zechciej nam opowiedzieć ten romans w całości. Cóż panowie, czy nie ma opowiadać?

KILKU OFICERÓW. Niech opowiada, niech opowiada!

WILHELM. Moi panowie, nie nadużywajcie mej cierpliwości!

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI I KRÓL.

KRÓL (wchodzi galeryą i zatrzymuje się na widok oficerów). Moja gwardya wesoło się bawi. Posłuchajmy, o co im chodzi. (Opiera się o poręcz galeryi.)

PIERWSZY OFICER. Tylko się nie gniewaj i zaczynaj od początku. Jak dawno poznałeś pannę Duval?

KRÓL (n. s.) Jakaś miłosna historia!

DRUGI OFICER. Czy od razu ci się spodobała?

TRZECI OFICER. Może ci robiła jakie awanse?

PIERWSZY OFICER. Co to, to trudno. Ale byłoż to po koleżeńsku, tak długo się wypierać jakby śmiertelnego grzechu?

DRUGI OFICER. Wszakże to już przyjęta reguła, że każdy w Duvali kochać się musi.

PIERWSZY OFICER. Był czas, że i ja się w niej kochałem.

TRZECI OFICER. I ja, niestety!

PIERWSZY OFICER. I tylu innych, chociaż wszyscy napróżno.

KRÓL (n. s.) Proszę?... to jakaś straszna piękność!

Zeszyt IX.

PIERWSZY OFICER. Na honor, Duval jest piękna. Warto się w niej kochać.

DRUGI OFICER. Na miejscu Wilhelma byłbym nie włosów, ale pocałunku od niej zażądał.

PIERWSZY OFICER. Wilhelmie, możesz ty szczęśliwszy od innych, i wiesz jak smakują jej usta?

KRÓL (n. s.) Biedny chłopiec, ciekawym jak im się obroni.

WILHELM. Na Boga, milczcie! Dopóki wasze słowa tylko mnie dotyczyły, byłem gotów wszystko znosić spokojnie. Ale imieniem panny Duval nie dam pomiatać. Wiecie wy, kto jest panna Duval? Znać ją wszyscy, a jednak widzę, że żaden z was jej nie poznał. To jest istota wyższa od tych, co się kobietami zowią. Gdyby mi pozwoliła na kolanach zbliżyć się do siebie, ukłekałbym zawsze na jej widok. Od niej nie odważyłbym się żądać pocałunku, ale byłbym szczęśliwy, gdybym ustami dotknął kraju jej sukni. Kiedy wzrok jej z moim przypadkiem się spotka, czuję dreszcz po całym ciele!...

KRÓL (n. s.) Dalibóg, szczególnie zapalenie!

WILHELM. I wy tak lekko śmiecie mówić o podobnej istocie?... Ja kiedy jej nazwisko mam w ustach, chcę głowę uchylić, jak czynią ludzie pobożni, wymawiając najświętsze imię. Jakże żałuję, że nie ma jej teraz na tem miejscu! Jednem spojrzeniem ukarałaby waszą zuchwałość, jak piorunem poraziłaby was swoją pięknoscią... O, panna Duval jest piękna! W galeryach naszego króla widziałem wiele arcydzieł malarzkich, ale żaden artysta nie wymyślił tak przecudnych rysów. Postawcie obok niej najpiękniejsze kobiety z całego kraju, a zgasną przy niej jak inne gwiazdy przy jutrzence. Czemże w porównaniu z nią będzie owa pani Kozel, sławna ze swoich wdzięków na całą Europę, ta piękność, którą sam król uwielbia?...

KRÓL (n. s.) Oho, to może za wiele!

WILHELM. O! taką kobietę czcić należy jako szczególny dar Boga dla ziemi! Taką kobietę kochać jest rajską szczęśliwością, od takiej kobiety być kochanym równa się niebieskiemu zbawieniu!

ROBERT. Słyszycie, co on mówi? I ten człowiek się zapiera!

WILHELM. Tak, powiem otwarcie: za jedną godzinę miłości panny Duval, oddałbym życie, a dzisiaj mam to za wielkie szczęście od Boga, że mi dozwolił poznać ją na ziemi. Tak, przyznaję się, śmieję się z tego, ile wam się podoba, ja kocham Henrykę i jestem z tego dumny.

KRÓL (n. s.) Otóż sens moralny z powieści.

ROBERT. Doskonale! wybornie! uściskałbym cię za tę prawdomówność. Nieprawdaż, że ci się ulżyło na sercu? I dla czegoż się było tać z tem uczuciem? Któż ci może wziąć za złe, że kochasz piękną i dobrą Henrykę. A teraz podaj nam rękę, my przepraszamy za wyrządzoną przykrość, a ty się nie gniewasz.

WILHELM. Nie, ręki wam nie podam. Zadowolniłem waszą ciekawość, bo nie byłem panem siebie. Dla was jest to rzecz obojętna i zabawna; we mnie cała ta scena zrodziła tylko żal głęboki. (Oddala się.)

ROBERT. Na miłość Boga, nie bądźże dzieckiem!

PIERWSZY OFICER (zatrzymując go). Ależ poczekaj...

WILHELM. Puście mnie! (Wychodzi).

SCENA TRZECIA.

ROBERT, OFICEROWIE I KRÓL.

ROBERT. Otóż go macie, już się rozdąsał.

KRÓL (schodzi z galerii i przybliża się do oficerów.) Zajmując czas przepędzacie, mości panowie.

ROBERT. Jego Królewska Mość!

(Oficerowie odkrywają głowy i cofają się w głąb).

KRÓL. Niechcący byłem świadkiem waszej rozmowy. Zaciekawily mnie pierwsze zasłyszane wyrazy i podsłuchałem was. Może to nie zbyt dyskretnie z mej strony.

ROBERT. Wybacz, Najjaśniejszy Panie, że trochę za głośno zachowaliśmy się na królewskich pokojach...

KRÓL. Nic to nie szkodzi. Inaczej byłbym stracił tę scenę, która, prawdę powiedziawszy, dosyć mnie zabawiła. Ależ byliście bez litości dla swego kolegi.

ROBERT. To nie ze złego serca, Najjaśniejszy Panie. Wilhelm jest tak upartym człowiekiem, że czasem trzeba go przełamać.

KRÓL. On musi bardzo kochać tę pannę...

ROBERT. Pannę Duval.

KRÓL. Duval. A na imię jej Henryka, wszak tak?

ROBERT. Tak, Najjaśniejszy Panie.

KRÓL. Któż ona jest?

ROBERT. Jej ojciec jest Francuz i handluje winem w Warszawie. Jestto zakład znany przez całe miasto, a szczególnie przez wszystką młodzież cywilną i wojskową.

KRÓL. Czy panna Duval jest rzeczywiście tak piękną, jak to głosił wasz kolega?

ROBERT. Pod tym względem Wilhelm miał najzupełniejszą słusność, chociaż może sposób, w jaki oddawał jej pochwały, jak W. Kr. Mość słyszałeś, nie ze wszystkim był odpowiedni.

KRÓL. O, nie gniewam się wcale! (n. s.) Wszak może być w istocie piękniejszą od Kozeli.

ROBERT. Tak jest, Najjaśniejszy Panie, Duval jest nadzwyczaj piękną. Wszystkie młode serca jak na lep łapią się na jej urodę. Cała prawie gwardya W. Kr. Mości króciej lub dłużej jęczała w jej kajdanach. Ale też Duval umie się cenić! Dotąd nie znalazł się ani jeden, coby podbił jej serce.

KRÓL. Panna widać chce dobry los zrobić.

ROBERT. Tego nie można powiedzieć. Pomiedzy wielbicielemi byli i tacy, którzy pragnęli majątki i tytuły u jej nóg złożyć, lecz wszystkich odprawiała temiż samemi słowy: pan mi się nie podobasz.

KRÓL. Szczególna dziewczyna! (Randzau wchodzi).

RANDZAU (ciszej do króla.) Najjaśniejszy Panie, każ odejść tym oficerom.

KRÓL (czyniąc skinienie ręką.) Mości panowie, możecie się oddalić. Dziękuję wam za dane objaśnienia.

(Oficerowie oddawszy ukłon wychodzą)

SCENA CZWARTA.

KRÓL, RANDZAU, (POŹNIEJ) LEBEAU.

RANDZAU. Muszę W. Kr. Mość przenieść nagle w sferę polityczną, choć widzę, że nie jesteś do tego usposobiony. Wiadomość jednak bardzo pomyślna.

KRÓL. I cóż mi takiego przynosisz, Randzau?

RANDZAU. Pani Feszen przyjechała na zamek i pyta, czy W. Kr. Mość raczysz ją przyjąć.

KRÓL. Panią Feszen!... o z całego serca! Nareszcie więc przybyła! Ale niechaj długo nie czeka. (Dzwoni. Wchodzi Lebeau.) Lebeau, proś panią Feszen do mnie.

LEBEAU. Dobrze Najjaśniejszy Panie. (Odchodzi).

KRÓL. Nadspodziewanie ta sprawa zdaje się dobry obrót przybierać.

RANDZAU. W. Kr. Mość w podobnych razach bywasz zwykle szczęśliwy.

KRÓL. Nie mając jakiś czas na mój list odpowiedzi, sądziłem, że tem odezwaniam się podałem jej tylko nową broń do ręki. Pani Feszen widać wahała się i namyślała.

RANDZAU. Aż wreszcie niewygasała miłość dla W. Kr. Mości przezwyciężyła w niej inne względy.

KRÓL. Oh tak! Miłość, której byłem zawsze wiernym hołdownikiem, niech mi ratuje teraz wśród politycznej burzy. Król szwedzki pobił mego sprzymierzeńca, rozgonił moje wojsko i wisi jak chmura na granicach Rzeczypospolitej, traktując z moimi poddanymi o wyrzucie mnie z tronu. Tychto wewnętrznych nieprzyjaciół najwięcej się obawiam, a wiem, że ich stronnictwo bardzo liczne, że niezadługo może otrzymać przewagę. Prymas Radziejowski udaje dotąd, że mi sprzyja, ale duszą stoi na czele mych przeciwników. Pani Feszen ma wielki wpływ na niego. Jeżeli nie usłucha swej siostrzenicy, nie usłucha nikogo. A pani Feszen, jak sądzę, nie zapomniała dotąd, że była kiedyś przeze mnie kochaną. Jej wspomnienia są jedyną moją deską ratunku. Miłości, ty dodaj siły i zapału mym słowom!

LEBEAU (wchodzi.) Pani Feszen.

KRÓL. Oddał się Randzau. Sam na sam będę dla niej najstraszniejszym. Zresztą możesz wszystko słyszeć z przyległego pokoju. (Randzau się oddala. Wchodzi pani Feszen ubrana w kirze. Lebeau za jej wejściem odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

KRÓL. PANI FESZEN.

KRÓL (czyniąc kilka kroków naprzeciw przybywającej.) Prawdziwą radość sprawiasz mi swem przybyciem, Aurelio!

PANI FESZEN (oddając mu ukłon etykietałny.) Najjaśniejszy Panie!

KRÓL. Ah, porzuć te tytuły i etykietę! Jesteśmy sami. Dawniej nazywałaś mię tylko Augustem.

P. FESZEN. Daruj W. Kr. Mość, że zechcę o tem zupełnie zapomnieć. Przeszłość, kiedy raz zginie, nigdy nie powraca. Przychodzę dziś do W. Kr. Mości nie jako Aurelia Feszen, ale jako siostrzenica Prymasa, do której cię zbliżył interes polityczny.

KRÓL. Aurelio, jesteś okrutną!

P. FESZEN. Przed kilku dniami W. Kr. Mość do mnie pisał. Żądałeś w tym liście, abym użyła całego mojego wpływu na Prymasa w celu przeciwności go na twoją stronę, a odwrócenia od buntowniczej partii. Pragnąłeś także Najjaśniejszy Panie, abym widziała się z tobą dla ustnego porozumienia się w tej sprawie.

KRÓL. Tak jest Aurelio, prosiłem cię o tę wielką przysługę.

P. FESZEN. Pozwól W. Kr. Mość, że ośmielę się zadać ci jedno pytanie.

KRÓL. Gotowy jestem na każde ci odpowiedzieć.

P. FESZEN. Dziękuję. Czy W. Kr. Mość zastanowiłeś się dobrze nad twoim czynem przed napisaniem tego listu?

KRÓL. Jako Aurelio? Cóż przez to rozumiesz?

P. FESZEN. Czy W. Kr. Mość pomyślałeś wprzód nad tem, czy masz najmniejsze prawo żądać odemnie podobnej przysługi, lub czyli ja raczej nie mam powodu być twoją nieprzyjaciółką i szkodzić ci ile możności?

KRÓL. Oh Aurelio, nie spodziewałem się od ciebie takich wyrazów! Obrażasz niemi najpierwsze zasady uczucia i miłości. Do kogoż mamy udać się o pomoc, gdy nam zagraża niebezpieczeństwo, kiedy nieszczęście wisi nad naszą głową? Czyliż wtenczas nie powinniśmy naprzód zapukać do sere, które z naszymi łączy nie sympaty i najszczerzych związków? Aurelio, jeśli burza kołacze okrętem, a morze już ma pochłonąć go w swoje głębie, czyż nie skupiają się do ciebie ci wszyscy, którzy razem żyli w szczęśliwych chwilach ze sobą?

P. FESZEN. Najjaśniejszy Panie, otchłań przedziela nas od siebie!

KRÓL. Dlaczego Aurelio? Czyż nie pamiętasz, że kiedyś przysięgałem ci miłość, że kochałem cię z całej mej duszy, że ty oddałaś mi swe serce?

P. FESZEN. Kiedyś!... Dobrze iż W. Kr. Mość nie zapomniałeś dodać tego słowa. I w cóż się obróciły wszystkie twoje przysięgi? Złamałeś je bez najmniejszego wyrzutu sumienia. Gdzie dzisiaj twoja miłość? Obdarzyłeś nią inną kobietę. I chcesz, żeby tylko moje serce pozostało niezmiennem?

Nie królu! Widzisz na mnie te czarne szaty, bo kir jedynie przystoi opuszczonej kochance, ale bądź pewny, że i duszę uzbroiłam w dumę obrażonej kobiety!

KRÓL. Jesteś jak głaz niewzruszoną. Więc odmawiasz mi stanowczo swej pomocy?

P. FESZEN. Niech W. Kr. Mość uda się po nią do pani Kozel.

KRÓL. Chcesz się zemścić, Aurelio? Dobrze. Ale nie mów potem nigdy, żeś kiedykolwiek mię kochała. Ten czyn miłych wspomnień nie pozostawi w twojej pamięci. Kiedyś będziesz umiała sobie przypomnieć, że błagałem cię o ratunek otoczony ze wszystkich stron od nieprzyjaciół, czyhających na moją zgubę, że udawałem się do twojego współczucia, kiedy korona spadała mi z głowy, a tron chwiał się podemną. Może to zadowolni twoją dumę, że będziesz mogła sobie powiedzieć: i ja przyczyniłam się do jego upadku...

P. FESZEN. Ah, co mówisz Najjaśniejszy Panie!

KRÓL. Tak Aurelio, przedstawiam ci tylko moje prawdziwe położenie, a ty odpowiadasz mi wyrzutem o panią Kozel.

P. FESZEN. Oh, bo to jest okropne, zostać opuszczonej przez ciebie!

KRÓL (biorąc ją za ręce.) Uspokój się Aurelio! Widzę, że kochasz mię dotąd, ale nie rozumiesz mojego serca. Sądzisz, że dla pani Kozel zapomniałem o tobie? To nie prawda, Aurelio. Pani Kozel jest władczynią mojego dworu, a nie panią mojego serca. Pomiędzy mną a nią istnieje stosunek szczególniejszego rodzaju. Szacunek dla przymiotów jej umysłu i wdzięczność za jej poświęcenie skojarzyły go i utrzymują do dzisiaj. Ta kobieta tak mądra i roztropna dopomaga mi nieraz swą radą, ta kobieta uczyniła dla mnie tyle dobrego! Przypnę, że zbłądziłem w pierwszej chwili, kiedy oddalony od ciebie, poznałem panią Kozel i dałem się ująć jej powabom. Ale dziś cóż mam uczynić? Odepchnąć tę kobietę od siebie i odpłacić jej najczarniejszą niewdzięcznością? Na to oburza się mój honor. Pozwól jej zatem, niechaj panuje na moim dworze, niechaj świat nazywa ją moją kochanką. Ja u niej nigdy nie szukam miłości. Jeżeli pragnę ją kiedy znaleźć, wtedy cofam się myślą w lata ubiegłe, wtenczas stajesz ty przed memi oczyma i całe szczęście naszej miłości!...

P. FESZEN. Augusta, czyli mam wierzyć temu co słyszę?

KRÓL. Obowiązki, przypadkowym sposobem gdzieindziej zaciągnięte, odłączyły mnie od ciebie Aurelio. Ale pamięć twoja zawsze jest świętą dla mnie. Poddąłem się losowi, znosząc z rezygnacją dzisiejszy mój stosunek jako karę za błędy, bez wyrzutów dla pani Kozel, ale także bez zadowolenia dla siebie.

P. FESZEN. Oh, przebac mi Augusta, nie zrozumiałam ciebie.

KRÓL. Z całego serca zapomnę o naszym nieporozumieniu. Aurelio, bądźmy przyjaciółmi jak dawniej. Rozłączeni od siebie kochajmy się tą wyższą miłością, która duchy z sobą kojarzy.

P. FESZEN. Tej jedynie pragnęłam zawsze od ciebie. Chciałam być kochaną, nie więcej! Chciałam wiedzieć, że kiedy

dusza Augusta wyżej się wznosi, wtenczas myśli o mnie, wymarzyłam sobie tę cichą sympatyę, tę harmonią dwóch serc, której reszta świata nie słyszy.

KRÓL (n. s.) Biedna kobieta!

P. FESZEN. Najjaśniejszy Panie, ja mam losy twej korony w swem ręku...

KRÓL. Wiem o tem.

P. FESZEN. Ale w twojej także jest mocy uczynić mię szczęśliwą na wieki...

KRÓL. Nigdy nie przestałem tego pragnąć.

P. FESZEN. Uczyńmy więc zamianę. Ju ci przyrzekam zjednać Prymasa, a ty poprzysiąż mi zachować wiecznie twą miłość. Nie żądam, abyś dla mnie wyrzekł się rozkoszy świata. Szaleję, uwodzę, zadawałniam swoje namietność i kaprysy, ale dla mnie zostaw swe serce, nie oddaj go żadnej innej. Za tę cenę uczynię wszystko dla ciebie. Przysięgasz?

KRÓL. Przysięgam.

P. FESZEN. O dzięki ci! Nie zazdroszczę już pani Kozel jej tryumfów. Dla mego spokoju i szczęścia potrzeba tylko było dzisiejszej rozmowy. Teraz bądź spokojny. Kochanka Augusta przyrzeka zachować tron królowi.

KRÓL (całując ją w czoło). Kochaj mnie zawsze Aurelio!

(Pani Feszen wychodzi.)

SCENA SZÓSTA.

KRÓL. RANDZAU.

KRÓL (odprowadziwszy ją aż do drzwi, zwraca się nagle ku stronie, gdzie Randzau wyszedł.) Randzau, Randzau! (Randzau wchodzi.) Czy słyszałeś wszystko?

RANDZAU. Winszuję W. Kr. Mości tak świetnego sukcesu.

KRÓL. Jestem niezmiernie uradowany! Tu między ścianami tej sali, w cztery oczy z kobietą, odniosłem zwycięstwo, równające się wygranej bitwie. Tak, pani Feszen przerobi swego stryja, Prymas opuści buntowników, buntownicy bez niego upadną na duchu, i tak król szwedzki będzie zmuszony cofnąć się od mych granic, jak gdybym mu zadał klęskę w otwartem polu...

RANDZAU. Ośmielę się zapytać, czy W. Kr. Mość mówiłeś to wszystko na prawdę do pani Feszen?

KRÓL. Dlaczego pytasz się o to?

RANDZAU. Bo jeżeli to była tylko wyuczona rola, to W. Kr. Mość posiadasz znakomite zdolności teatralne, jeżeli zaś prawda, to muszę uznać całą tę scenę za bardzo efektowną.

KRÓL. Po części było to jedno i drugie. Warunki pani Feszen są tak niepochwytnie, tak elastyczne, że mogłem na nie przysięgać bez obawy, aby mi kiedyś niedotrzymanie słowa wyrzucono. Przytem zastygła iskra nieco się rozdmuchała. Pani Feszen dzisiaj mię nie zajmuje, ale pamiętam, że kochałem ją niegdyś. Bo wierz mi, żadna z naszych kochanek nie bywa

nigdy zupełnie zapomniana. Bo czyż może zaginać w nas bez śladu uczucie dla tych istot? Każda napoiła nas jakąś rozkoszą, każda dała nam poznać jakieś nowe powaby wdzięków i miłości! Tylko ludzie ciasnego umysłu mogą dla jednej kobiety rzucić w niepamięć wszystkie poprzednie kochanki i obwiniać inaczej myślących o lekkomyślność. Powiedz mi Randzau, czyli ja nie jestem stały? Wszak kocham zawsze i ciągle, i miłość moja zawsze jest jedną, chociaż różne ogarnia przedmioty.

RANDZAU. Bez wątpienia, biorąc rzeczy w ten sposób ze stanowiska filozoficznego, jesteś W. Kr. Mość najstalszym i najidealniejszym kochankiem.

KRÓL. Dajmy pokój tym rozumowaniom. Jestem dzisiaj bardzo ucieszony, odniosłem tryumf i chciałbym go obchodzić uroczystie, jak żołnierze bankietujący po zwycięstwie. Na dzisiaj dość już polityki, resztę dnia chciałbym spędzić przyjemnie i wesolo.

RANDZAU. Jakież W. Kr. Mość ma plany pod tym względem?

KRÓL. Doprawdy, że nie wiem co robić. Randzau, może ty podasz jaką myśl szczęśliwą?

RANDZAU. Może W. Kr. Mość zechce przepędzić wieczór z panią Kozel?

KRÓL. Ah, Randzau, nie rozumiesz mnie zupełnie! Ja chcę się dzisiaj czemś szczególnem uraczyć, a chociaż jesteś bratem pani Kozel, nie tajno ci przecie, że ona przestała być dla mnie nowością.

RANDZAU. Może każemy dać przedstawienie teatralne?

KRÓL. Moi aktorowie nie nauczyli się nic nowego; już umiem na pamięć wszystkie ich opery.

RANDZAU. Przychodzę do przekonania, że nic trudniejszego, jak wymyśleć zabawę. Tymczasem ośmielę się zapytać, o czym W. Kr. Mość prowadziłeś tak żywą rozmowę z oficerami gwardyi przed moim przybyciem. Nie miałem czasu dotąd o to pytać.

KRÓL. Ah Randzau, to jest myśl genialna!

RANDZAU. Jaka myśl, Najjaśniejszy Panie?

KRÓL. Ta, którą mi podałeś swem zapytaniem. Czy wiesz ty, gdzie winiarnia Duvala?

RANDZAU. Jestem tam dosyć częstym gościem.

KRÓL. Czy kochasz się lub kochałeś w Henryce?

RANDZAU. W. Kr. Mość znasz Henrykę?

KRÓL. Nie znam, ale o niej właśnie rozmawiałem z oficerami, których przypadkiem podsłuchiłem w tym przedmiocie. Unosili się nad jej pięknoscią...

RANDZAU. Zapewniam W. Kr. Mość, że nie kłamali. Duval jest prześliczną, cudowną.

KRÓL. Dlaczego dotąd nigdy mi o niej nie wspomniałeś?

RANDZAU. Dlaczego? W istocie sam nie wiem. Dlatego zapewne, dlaczego nie mówimy o tysiącu różnych rzeczach, które nam nigdy na myśl nie przyjdą.

KRÓL. Randzau, pójdziemy dziś do panny Duval.

RANDZAU. W. Kr. Mość chcesz iść do winiarni, gdzie zawsze pełno oficerów i ludzi od dworu?

KRÓL. Ah, jaki ty jesteś niedomyślny. Pójdę incognito, przebrany w mundur oficerski. Jestem niezmiernie ciekawy poznać tę straszną piękność, której dotąd nikt się nie podobał. Randzau, każesz Lebeauwi przynieść mi odpowiedni kostium. Dzisiejszy wieczór przepędzimy przyjemnie.

RANDZAU. Nie wątpię o tem, ale jest jedna okoliczność.

KRÓL. Cóż takiego?

RANDZAU. Moja siostra...

KRÓL. Prawda.

RANDZAU. Wyobraź sobie W. Kr. Mość, co by to było hałasu, gdyby się o tem dowiedziała. Jeszcze ty Najjaśniejszy Panie uszedłbyś łatwiej jej gniewu, ale ja...

KRÓL. Pani Kozel może o tem nic nie wiedzieć.

RANDZAU. To niepodobna. Jej policja wzorowo pod tym względem urządzona.

KRÓL. Musimy jednak temu zaradzić.

RANDZAU. Tak, trzeba zaradzić. Bo to być nie może, abyśmy tylko to robili, co się pani Kozel podoba. Ona zanadto ogranicza wolę W. Kr. Mości.

KRÓL. Najlepiej będzie uprzedzić wszystkie jej badania i domysły, i powiedzieć otwarcie, że dzisiaj na noc wychodzę z zamku. Mam plan gotowy, jak upozorować to oddalenie.

LEBEAU (wchodzi.) Pani hrabina Kozel.

KRÓL. Wybornie, w sam czas przychodzi. Randzau, udajmy zajętych. (Usiada. Randzau stoi przy nim. Pani Kozel wchodzi.)

SCENA SIÓDMA.

KRÓL. RANDZAU. P. KOZEL.

KRÓL. Więc takie masz ostatnie wiadomości... W tej mierze należałoby się porozumieć z ministrem saskim...

P. KOZEL. W. K. Mość daruje, że mu przerywam jego prace.

KRÓL. Ty Gabryelo nie jesteś nigdy natrętnym gościem. (wstaje). Rzeczywiście, cały dzień dzisiaj byłem niezmiernie zajęty, pracowaliśmy długo z Randzauem.

P. KOZEL. Więc to był zapewne powód, dla czego nie miałam dziś szczęścia widzieć W. Kr. Mości?

KRÓL. Jakiżby inny, kochano Gabryelo. Najśłodszy dla mnie jest wypoczynek po trudach na twojem łonie. Ale cóż robić? W ciężkich żyjemy czasach, i tego nawet muszę sobie nieraz odmawiać.

P. KOZEL. Słyszałam, że pani Feszen była u W. Kr. Mości. I jakiż skutek to widzenie się odniosło?

KRÓL. Obaj z Randzauem poruszyliśmy wszystkie sprężyny, aby ją skłonić do swych zamiarów. Nareszcie wyświeciwszy całe położenie rzeczy, wykazawszy klęski, na jakie kraj może

być narażony z jednej, a dobrze zrozumiany interes stronnictw z drugiej strony, i przedstawiwszy jej wszystkie kombinacje polityczne, zdołaliśmy wymódl na niej, że nam przyrzekła swą pomoc.

P. KOZEL. To dobrze. W. Kr. Mość wiele na tem zyskujesz.

RANDZAU. Gdyby pani Feszen miała jaśniejszy pogląd na obecny stan Europy, bez wątpienia ta sprawa nie byłaby nas kosztowała tyle mozółu.

KRÓL. Ale nie tu jeszcze koniec mojej pracy. Szczęśliwym wypadkiem przybyłaś tu Gabryello, bo właśnie pragnąłem się z tobą rozmówić.

P. KOZEL. Czegóż W. Kr. Mość żądasz?

KRÓL. Otóż rzeczy tak stoją, że muszę jeszcze widzieć się z panem Towiańskim, siostrzeńcem Prymasa. Z tego powodu chciałem cię uprzedzić, że dzisiejszej nocy wydalę się z zamku.

P. KOZEL (n. s.) Co? (głośno) Czyżby raczej nie przystało, aby pan Towiański przybył do W. K. Mości?

KRÓL. Niech Bóg broni. Pana Towiańskiego wszyscy znają, a my tutaj jesteśmy otoczeni szpiegami. Cała sprawa zostałaby narażoną, gdyby się dowiedziano, że mam potajemne zmowy z Prymasem.

P. KOZEL. I w jakiż sposób myślisz się W. Kr. Mość z nim widzieć?

KRÓL. P. Towiański wyznaczył mi w mieście schadzkę, na którą mam się udać przebrany.

P. KOZEL. Gdzie?

KRÓL. To tajemnica.

P. KOZEL. Dla mnie?

KRÓL. Nawet dla ciebie. Tak żądał Prymas.

P. KOZEL. I na jakież niebezpieczeństwo W. K. Mość się narażasz!... Czy nie wiesz, że Warszawa roi się od twych nieprzyjaciół, a jeśli oni w obozie szwedzkim już cię za wyzutego z tronu ogłaszają, to się także ośmielą wśród cieniów nocy utopić w twych piersiach zabójczy sztylet.

KRÓL. Twój przestach jest nierozsądny...

P. KOZEL. Niech W. Kr. Mość tego nie mówi. Moja obawa płynie z serca, które nie ma nic droższego, nic więcej nie kocha nad ciebie. Nie mogę nawet przypuścić tej myśli, abyś krok podobny chciał uczynić.

KRÓL. Konieczność polityczna tego wymaga.

P. KOZEL. Natenczas pozwól, że i ja z tobą pójdę. Nie znajdziesz obrońcy, któryby lepiej ode mnie czuwał nad twoją całością. Każdy cios na ciebie wymierzony, musiałby najprzód przejść przez moje łono.

RANDZAU. (n. s.) Ty byś była sama prawdziwym ciosem!

KRÓL. Nie Gabryelo, na to nie mogę pozwolić. Chociaż sztylety, które widzisz nad moją piersią, są tylko urojeniem twej głowy, nie mogę cię wystawiać na nieprzyjemność lub przypadek, którego ja prędzej uniknąć zdołam.

P. KOZEL. Auguście, uczyni zadosyć mej najusilniejszej prośbie.

RANDZAU (n. s.) Otóż masz, i tklivość już na stole.

P. KOZEL. Jeżeli mnie kochasz, zaniechaj tego zamiaru lub weź mnie z sobą. Nie to niepodobna... w tych czasach... w nocy... takie niebezpieczeństwo!... Auguście, zważaj na moje przecucie, na moje lzy, które na tę myśl do oczu mi się cisną.

RANDZAU (n. s.) Już i lzy!

KRÓL. Ah Gabryelo (n. s.) Nie wiem, jak postąpić... żal mi jej... doprawdy ona płacze. Przecież to niegodnie tak ją oszukiwać, ale cóż robić dziś wieczór? (głośno) Sądziłem, że lepiej zdołasz zrozumieć interesa mej korony. Zresztą nie pójdę sam jeden. Randzau będzie mi towarzyszył. Znasz jego przytomność i przywiązanie do mojej osoby.

RANDZAU. Tak, moja siostró, nie ma najmniejszej obawy.

P. KOZEL. W. Kr. Mość nie masz litości.

KRÓL. Droga Gabryelo, bądź spokojną. I ja przecież mogę czegoś wymagać od twej miłości. Gdyby nie surowa konieczność, czyż zdołałbym oprzeć się twojej prośbie? Moje serce usłuchało twojego głosu, ale rozum każe wbrew uczuciu postąpić. Rozpogodź twe piękne oczy. Lubię w nich widzieć blask radości i szczęścia. Tak Gabryelo, ach te oczy posiadają nieograniczoną władzę nade mną. Więc otrzymałem zezwolenie?

P. KOZEL. I cóż mam robić z tobą. (n. s.) Uparł się jak rzadko.

KRÓL (całując ją w rękę.) Dzięki ci Gabryelo.

P. KOZEL. Czyli mam czekać na W. Kr. Mość?

KRÓL. O nie Gabryelo. Już nie daleko do wieczora. Nim uczynimy stosowne przybory, i noc zapadnie. A chociaż obiecuję ci spieszyć się ile można, jednak na każdy wypadek, udaj się raczej wcześniej na spoczynek. Ah, te sprawy publiczne, ta polityka. Do widzenia się zatem Gabryelo. Randzau, pójdziesz ze mną.

P. KOZEL. Niech W. Kr. Mość pamięta, że będę drzeć o niego, póki go przy sobie nie ujrzę.

KRÓL. Niechaj Bóg cię natchnie odwagą. (wychodzi.)

SCENA ÓSMA.

PANI KOZEL. RANDZAU.

P. KOZEL (zatrzymując Randzaua, który zmierzał za królem.) Randzau, tylko chwilę.

RANDZAU (chcąc dalej iść.) Przebacz... król czeka na mnie...

P. KOZEL. Natychmiast pójdziesz za nim. Randzau czy ty pamiętasz, że jesteś moim bratem?

RANDZAU. Mój Boże, dlaczegoż bym miał zapomnieć!

P. KOZEL. Powiedz mi szczerze, gdzie się król dzisiaj wybiera?

RANDZAU. Wszak powiedział ci jak najwyraźniej i ze wszystkimi szczegółami.

P. KOZEL. Ale ja pytam się o to ciebie, bo nie zupełnie wierzę jego słowom.

RANDZAU. Moja siostró, to bardzo niepięknie z twej strony.

P. KOZEL. Mam powody do takiej nieufności. Czuję, że od niejakiego czasu król obojętnie dla mnie. Jego umysł zmienny i pragnący ciągle świeżych wrażeń. Kto wie, może jaka nowa piękność!... To dzisiejsze oddalenie się daje mi do myślenia. Schadzka z Towiańskim wydaje mi się niezręcznym kłamstwem, i nie bez przyczyny zapewne król się tak wzdrygał, kiedyś mu chciała towarzyszyć.

RANDZAU. Wszakże podobne nocne wycieczki, chociażby w najlepszym celu, wcale nie przystoją kobiecie.

P. KOZEL. Randzau, jeżeli mnie zdradzasz, pomyśl dobrze co robisz. Jesteś płochy i lubisz awantury. Lecz jeżeli pomożesz królowi, aby inna zajęła moje miejsce, może się skończyć i twoja karyera, do której ja pierwsza utorowałam ci drogę.

RANDZAU. Nazbyt daleko patrzysz i dlatego się mylisz. Pamiętam tak dobrze o tobie, jak i o własnym interesie.

P. KOZEL. Żebyś się kiedyś o fałszu twoich słów nie przekonała!

RANDZAU. Nie lękam się tego i mogę tylko powtórzyć, co ci król powiedział: udaj się na spoczynek i spij spokojnie. (Wychodzi za królem.)

SCENA DZIEWIĄTA.

P. KOZEL. Wam obu nie mogę wierzyć, moi panowie. Gdzie chodzi o to, aby oszukać kobietę, wy wszyscy trzymacie się za ręce, zapominając wszelkich innych względów. Na schadzke polityczną możebyś nie dażył królowi z taką niecierpliwością, jaką czułam w brzmieniu twojego głosu! Chociaż ulice warszawskie jak mówicie, są dla mnie niebezpieczne, dla poznania prawdy narażę się na to niebezpieczeństwo. Mości królowi, zabawimy się dziś oboje w maskaradę.

(Odchodzi szybkim krokiem.)

LIST DO AUTORA „OBRAZKÓW CARYZMU.”

(O WARSZAWIE.)

SZANOWNY AUTORZE!

Już też teraz miałeś słuszne i niezaprzeczone prawo uwierzyć w moją zupełną anihilację; usprawiedliwiało to mniemanie tak długie me milczenie i szalony pomysł rzucenia się żywym i zdrowym w paszczę wszystko pochłaniającego olbrzyma, to jest dostania się za kordon. Dobrze przynajmniej, że to uczynił mimo twej wiedzy i nie nabawił cię niespokojności.

Błogosław zatem łaskawe nieba, że mi pozwoliły ujść cytadeli, turmy, posilenia i tym podobnych moskiewskich przysmaków, i przywiodły szczęśliwie ku domowemu progom, abym ci w Odysei mojej mógł zdać sprawę obszerną.

A najpierw: czego szukałem w Królestwie Polskiem? Najprawdopodobniej Polski.

Tak, Polski w całej jej świetności i grozie, ze wszystkimi skarbami jej przeszłości i całym jej dzisiejszym zniszczeniem. Ciekawość do darowania, zwłaszcza, że się do niej przyznaję, ciekawość będąca moją panującą wadą, gdyż pod tym względem nie ustępuję wcale płci pięknej, której tak niesłusznie przypisują monopol tej słabości.

Tak więc dzięki owej oryginalnej ciekawości, podczas gdy tego samego dnia pociąg lwowski tyłu zziębniętych wiozł pod łagodniejsze niebo południa, ku błękitom Adryatyku, ja owinięty w kozuch węgierski, w futrzanym kołpaku zaciśniętym na siwej głowie, otrzepywałem gęste śniegu płaty, a jechałem spiesznie i coraz lękliej, zbliżając się ku granicy; bo choć mnie zagrzewała ciekawość i siła do dawała, nie mogłem się wstrzymać od dręczącej obawy względem mej odzieży zimowej, której skonfiskowanie byłoby zbyt dotkliwym na 3 stopnie niżej zera.

A więcej jeszcze szło mi o mój toporek, wiedząc, że panowie Moskale nie z wielką czułością obchodzą się zwykli z podobnymi bawidłami; ale jakoś się obeszło bez gwałtownych środków, i dołman został na barkach i wierny towarzysz pielgrzymki w rękę, i z łżejszym sercem przebywałem pustynię, dążąc ku naszej mazowieckiej Mekce. Bo pustynią w rzeczy samej nazwać można ten step piasku, smutnemi gdzieś niedziedzi zasiany sosnami, towarzyszący nam prawie do końca wędrówki; nigdzie trawki zielonej, nigdzie kiełkującego ziarenka, piasek i piasek bez końca, bez przerwy:

„I kędy popatrzę, i pusto i głucho,

Nie widzi nic oko, nie słyszy nic ucho;

Aż w piersiach nie lekko i w oczach nie sucho.”

Czasami tylko na rozszerzonym widnokręgu, z pagórka panującego nad całą okolicą zabłądną w południowym słońcu majestatyczne wieże kościoła OO. Paulinów i blaskiem swoim rozjaśniającie ciemne pustynie; czasami młodzieńca Warta śmiejącem licem pozdrowi znużonego wędrowca, pokrzepi go nadzieją wspanialszego, droższego sercu, rychłego widoku okazałej rzeki naszych matki, ale to wszystko w mgnieniu oka mija i zostajemy znowu sami z pustynią tęskną rodzącą myśli.

Aż wreszcie piękne Skierniewice ze swemi okazałymi zabudowaniami, z ogrodem założonym na wypach, oto-

czonym zewsząd wodami, miłe przerwą zamyślenie i wdzięcznie się przedstawia w wieczornej mgły zasłonie.

Gdyż nocą się przybywa do Warszawy, a oddawanie i wizowanie paszportów tyle czasu zabiera, że późno dopiero wita nas zaspany kelner europejskiego hotelu niezbyt przyjemną niespodzianką, bo niemieckiem: „*Euer Gnaden*.”

O! — pomyślałem — nie na to przybyłem do stolicy Mazowsza, abym słyszał szwargotanie, którego w domu mam podostatkiem; zkażdeż to mniemanie, aby każdy przybywający z Przedlitawii musiał być koniecznie Niemcem? Czy może już i tu doszła wieść o antynarodowym postępowaniu naszej delegacji, i po kilku jej członkach sądzą o duchu całej prowincji? Ależ ja do delegacji nie należę, broń Boże! mam sumienie czyste, i do tego trzymam się odwiecznego przysłowia, że: jak świat światem itd.

A więc dajcie mi jak najprędzej jakiego pocziwego Mazura, z którymby mógł po bożemu we własnym języku się rozmówić!

I tak się też stało, i po niedługiej chwili siedziałem już na balkonie mojego pokoju, i przy złagodniałym powietrzu, przy gwiazd niepewnym świetle starałem się z otaczającym mnie światem zapoznać. Lecz nie wabiła wzroku mego ani elegancka kopuła kościoła ewangelickiego, stercząca po nad kamienic dachy; ani go niecił pomnik wystawiony na Saskim placu, olbrzymimi lwami zdobny, ani z za kolumnady ukazujące się klomby ogrodu.

Ja na tym placu widziałem Kordyana przeskakującego bagnietów las, śledziłem tej walki szlachetnego a uciemiężonego narodu, którego Kordyan jest przedstawicielem, słyszałem śmiech oprawców, co wkrótce mieli poskromić odwet listopadowej nocy, i wobec tych wymownych obrazów, otaczające mnie dzieła sztuki a nawet natury, urok swój traciły.

Mieszkańcy Warszawy pewno nie domyślają się całej doniosłości wrażenia, jakie ich miasto sprawia na odwiedzających je pielgrzymach. Zrodzeni w jego murach, obznajomieni z jego dziejami, czynniki nieraz żywe jego historii, znajdują naturalnem i zwyczajnem to, co w przybylszu podziw i zdumienie wzbudza. Oni tak często deptają tę ziemię, którą my krwią męczeńską przesiąkniętą widzimy! im spowszedniały te szczegóły, których ważność oddalenie i rozmyślanie spotęgowały w wyobraźni naszej!

Któż z nas pielgrzymów będących w Warszawie nie zwiedził najprzód kościółka na Woli? kto w nim nie wywołał ducha wojownika za niepodległość naszą, gdy przypartu do ołtarza odpowiedział gromkim głosem tym, co mu się poddać kazali: „Polak się nie poddaje aż zginie!” Kto wśród ulic Starego Miasta nie odszukał postaci dziecięcia bohatera, którą nam Bolesławita przedstawił? Komu u św. Jana nie stanie na myśli dramat toczący się w podziemiach świątyni, owa walka spiskowych, wśród której tylko kilka głosów się odezwało za ukaraniem ciemnicy.

A Praga! gdzie najczystsza krew polska popłynęła ku Wiśle, szeroką strugą znacząc pierwszy pochód męczeński na tej drodze ofiar, którą naród iść miał od tej pory.

A Grochów! ów Maraton polski, gdzie po cało-

dziennej walce, na niwie zasłanej trupami, prowadzone przez starców, wiodąc z sobą dzieci sieroty, szły zwolna wdowy Laszki, szukając każda swego... poznając każdego po bronii, która przy nim leżała... i „przy każdym Moskali dziewięciu“; aż sokół bujający w przestrzeni zwolnił lotu i widowisku się temu przypatrywał, nim znowu poleciał pustkowiem, aby braciom orłom opowiedzieć co widział, aby z nimi podumać i pogwarzyć o tem, jak za wolność walczy Lacha plemię.

Tak to wieszcie nasi, historycy, dziennikarze, uprzymomnili nam każdy wypadek z dziejów tej polskiej Golgoty, taką ją otoczyli poezią, rzewnością, aureolą męczeńską, że w niej tylko męczennicę widzimy, owę podbitą a nieupadłą królowę, owę żalobną wdowę polskiej korony, która dumne zawsze choć niewolnicze czoło schyla po tę koronę, co bezwiednie z głowy spadła i u nóg jej leży.

O grzesznicy! nie myślimy wcale o rozkosznej, występnej, choć zawsze wdzięcznej pani, rozpieszczonej pieniem nadwiślańskich słowików i wonią Łazienkowskich gajów, radzi zapominamy wobec wielkiej, poważnej, stuletniej prawie pokuty. Grzechy wykwiłne, nadobne, prawie bezmyślne, wynikające z wpływu chwili lub przykładu, jakże łatwo przebaczenie zyskują. A jakież to miłe i prawie urocze były tej syreny występkę... jak ku sobie wabić umiała miękkością obyczajów, łatwością obejścia, ochoczą i uprzejmą gościnnością! jak nawet główny grzech swój, owego wiarałomnego monarchę, umiała otoczyć takim blaskiem zasługi, takim pojęciem arcyzmu, takim wieńcem poezji, iż wątpi się czasami, czy ów wskrzesiciel polskiej literatury i sztuki, ów założyciel tylu zbawiennych instytucji, ów przyjaciel postępu i oświaty, mógł być tym samym monarchą, który ręką nieustraszoną a sercem spódlonem trzy razy podpisał rozbiór państwa swego.

A jednakże twórca Łazienek, owej cudnej ustroni, laską czarodziejską wydobytej z moczarów i bagien, owego gniazdeczka wysłanego puchem łabędzim, na marmurowych osadzonego płytach, nie może być w Warszawie bezwzględnie potępionym. Kto tam zaglądnął, kto się przejrzał w lazurze tych wód, kto zdołał ocenić piękność tych marmurowych posągów, sprowadzonych umyślnie, aby mieszkańców Północy z arcydziełami sztuki oswoić; kogo dojdzie woń pomarańczowego kwiecia z pysznie urządzonych cieplarni, ten łacniej pojmie króla epikurejczyka, w jego zgubnej miękkości, wahającego się wiecznie między własną przyjemnością a pożytkiem ogółu, nie umiejącego utrzymać równowagi, polegającej na zaparciu wszelkich osobistych pragnień i żądz, na nieustannem dążeniu ku tej jedynej, wiecznotrwałej piękności, ofiarą i poświęceniem okupionej.

W takim myśli nastroju, stanąłem przed posągiem, który król zniewieściał bohaterskiemu królowi wystawił, co wydało mi się niemal świętokradzkim czynem.

Łazienki! nie wam przystało pamięć słynnego wojownika uwiecznić... jego śladów szukać gdzieindziej należy.

Na wyniosłem wzgórze, nad odnogą wspaniałej Wisły, pod cieniem lip jego rówieśnic, tam wszystko wzniosłe, choć mniej nadobne. Tam potężnego wrażenia żadna drobnotka nie psuje, tam wszystko duchem tchnie bohatera, wszystko przypomina potęgę, wielkość, niczem jeszcze niezagrożoną swobodę! tam duszę krzepią pamiętki wielkiej przeszłości, świetniejszym jeszcze blaskiem połyskujące się na tle ponurem dzisiejszego upadku, tam się też swobodniej oddycha wśród pogodnej i silnej natury, wdziękiem i prostotą wtórzającą dziejów powadze.

Łazienki i Willanów! jakże te dwie siedziby uosabiają ducha swych założycieli. Jak mężna postać rycerskiego Jana pięknie odbija na tle tych komnat, ozdobionych po największej części pamiątkami zwycięstw tylu, jakież tam zwiedzającego ogarnia uczucie czci i uwielbienia wobec tych wspomnień upłynionych wypadków, jaką miłością otaczamy te skarby niegdyś potęgi naszej, jak nikczemnieją wówczas Łazienki, jak drobniej ich kunsztem wyrabiane wdzięki wobec czystej, poważnej, harmonijnej willanowskiej przyrody; tak, jak karłowacieje król otoczony niewiast i dworaków gronem, przy surowem, mężkiem Sobieskiego obliczu!

Uczucia tego oddać niepodobna. Trzeba być tam na miejscu, aby wrażenia w całej pełni doznać, aby z szumem Wisły dosłyszeć odgłosu wojennych okrzyków, aby wśród lip szpaleru wywołać postać olbrzymią zbawcy chrześcijaństwa.

Willanowa ani Łazienek szczegółowo opisywać ci nie będę. Ja ducha jedynie dziejów śledziłem w tych miejscach i starałem się sądzić bezstronnie, choć sumienie. Ale dzieje same za siebie mówią, a powieść ich tchnie surowością nieubłaganą.

* * *

Z żalem opuszczałem Warszawę, z żalem podwójnym za lubą, wystawną, uroczą tych płaszczyzn rusalką, i za poważną, bolejącą, milczeniem swem wymowną męczennicą.

Ze łzą w oku zęnałem tak dobrze ci znajome wieże świętokrzyskiego gmachu, i wyniosłą kolumnę Zygmunta; ale i niejedno żałośnie wejrzenie rzuciłem ku alejom i cienistym chodnikom Saskiego ogrodu, gdzie się przesuwwały zgrabne kształty i piękne twarze tej, słusznie z wdzięków słynącej stolicy.

Lecz żal nie pomoże, gdy nieubłagany świst parowej maszyny oznajmia swą gotowość do oderwania nas od miłych i pońetych przedmiotów.

Więc znowu przebiegamy laski i gaje, łąki i łany, dosyć malowniczo ugrupowane, póki się szeroka przed nami nie roztoczy pustynia, witająca nas bałwanami piasku, przed którymi zamykamy oczy, żeby wygodniej rozmyślać nad świeżo doznaniem wzruszeniami.

A otóż i pustynia przebyta, i granica śmieje przekroczona, i zielone niwy świeżo deszczem skrópione, rozkosznie oblane promieniami majowego słońca, i bory majową zielenią przybrane, wdzięcznym ukłonem zdają się witać powracających z puszczy,

Śliczne zaprawdę te okolice krakowskie, rozkwitnięte, rozśpiewane, jednym wonnym zdające się być ogrodem, a na twarzach ich mieszkańców zda się być wryty napis: „A bośwa to jacy tacy?“

Lecz oto i stary Kraków, leżący wśród amfiteatru gór szańcowych, okolony zieleni wiankiem, a nad Krakowem, nad grodem królów naszych, nad bohaterów mogiłą, szerokim łukiem wygięta się z tęczy brama, na wypłakanej rozwieszona chmurze.

Byłaby to jaka dobra wróżba? Nie wiem. Po tylu doznanych zawodach trudno wróżbom wierzyć; ale to wiem, że dla uciśnionych i dotkniętych, dla nieszczęśliwych i upadłych tak nisko, jest słowo jedyne, broniące od rozpacz, dodające siły i otuchy, a tym słowem — nadzieja.

Dnia 15. Czerwca 1869.

Stary oryginał.



ad mogiłą, nad zieloną
Ciche gwiazdki smutnie płoną...
Jeszcze smutniej gdzieś w ustroni
Rzewną piosnkę ptaszek dzwoni!
Na mogile krzyż się czerni,
Opasany wieńcem cierni;
Pod nim sterczy jak głaz siny
Dziwnie piękny — trup dziewczyny.

Anioł pański szedł dróżyną...
I zapłakał nad dziewczyną!
Skrzydła z ramion odjął złote...
I otulił w nie sierotę!

Ziemi grudkę wziął z mogiły...
By dar Bogu ponieść miły;
I szedł zwolna — bo mu grudka
Jak świat cięży, choć malutka!

A sierota z grobu wstała,
 Jak lilia wiotka... biała...
 Słucha... patrzy... schyla czoło...
 Znane jęki brzmią w około...
 Słucha... patrzy... żal pierś dźwiga...
 Krew ran świętych nie zastyga...
 Krzyż objęła... skrzydła zdarła...
 I po drugi raz zamarła!

Kraków 1869 r.

Nad mogiłą, nad zieloną
 Ciche gwiazdki co noc płoną!
 Liliowy kwiat przez chwilę...
 Co noc kwitnie na mogile.
 A na krzyżu ptak się jawi
 I o takich rzeczach prawi...
 Że kto słyszy, ten nie może
 W zagniewanie wierzyć boże!...

Emil.

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

II.

IWONICZ.

Okazała wieś Iwonicz, ze swym zakładem zdrojowo-kąpielnym, leży w ziemi sanockiej, pod 39°28' długości, a pod 48°36' szerokości geograficznej, na 405 metrów nad poziomem morza, na południowym stoku Karpat, spuszcających się w dolinę rzeki Wisłoki.

Na zachód od wsi, w odległości prawie mili, wyborną drogą wjeżdża się w romantyczną dolinę, otoczoną gęstym lasem jodłowym, w której wytryskują zbawienne źródła Iwoniczkie.

Dolina ta 400 sążni długa, a 100 sążni szeroka, przetrzynięta dwoma górskimi potokami, otwiera się w postaci amfiteatru z południa ku północy. Grunt tego wzgórza skalisty i rozpadlinami poorany, załedwo z pomocą ogromnych nakładów i największych starań, z nieprzystępnej prawie pustyni zamieniony został w miejsce mieszkalne.

Zakład sam, położony na romantycznym leśnym urwisku, jakby ręką czarodzieja z łona ziemi wyprowadzony, sprawia tak piękny i zachwycający widok, iż śmiało iść może w porównanie z najpiękniejszymi, jakie w Europie znachodzimy.

Bite gościńce, przerywające czarowną dolinę, różnobarwność kwiecistych klombów, rozrzuconych wśród szmaragdowej murawy, szum górskich potoków, wdzięk domków i budowli kąpielnych, wzniesionych w ozdobnym stylu, wzorowy porządek i czystość, którą tu wszystko oddycha, olbrzymi bór jodłowy, majestatycznym wieńcem obejmujący dolinę, malownicze grupy drzew i krzewów, wszystko to razem nie tylko wskazuje rozległość pomysłu i wykwinny smak, lecz stawia zarazem Iwonicz między kąpielami najpowabniejszymi i najlepiej urządzone w naszym kraju.

Z najpewniejszych dat historycznych wiadomo, iż źródła naszego Iwonicza już w wieku XV. znane były jako ciekawe zjawisko przyrody, albowiem obok źródeł

mineralnych znajduje się tutaj źródło naftowe „Bełkotka” zwany, z którego to źródła wydobywający się gaz bagieny za zbliżeniem płomienia zapala się, wprawiając widzów z naukami przyrodniczymi mniej obeznanych w wielkie podziwienie. Wydobywanie się wspomnianego gazu jest tak silne i okwite, iż raz zapalony z trudnością ugasić się daje; a nawet niejednokrotnie bywał przyczyną pożaru sąsiednich budowli. Dla ugaszenia płomienia palącego się gazu po nad wodą, używają tutaj zazwyczaj świeżych oliścionych gałęzi, które uderzając bezustannie w powierzchnię wody, w miejscach gdzie się płomień pojawia, załedwo z móżolem takowy ugasić można.

Jakkolwiek z wierzytelnych aktów przekonać się można*), że wody Iwoniczkie już przeszło od 200 lat są znane, wszakże dopiero rok 1837 jest rzetelnym początkiem tutejszego zdrojowiska; albowiem w tymto czasie śp. Karol hr. Załuski, wierny wielkim wzorom, jakich mu własna rodzina Załuskich, niodorównana w bezprzykładnem poświęceniu się ojczyźnie, ziomkom i ludzkości dostarczyła, założył tutaj zakład zdrojowo-kąpielny, a zgasłszy zawczasie przekazał tradycję uczuć swemu synowi Michałowi hr. Załuskiemu, dzisiejszemu dziedzicowi Iwonicza, którego gotowość do wszelkich ulepszeń zakładu powszechnie jest znaną i ocenianą.

Iwonicz posiada obecnie 5 źródeł mineralnych, tj.
 źródło Karola, szczawa słona, czysto-jodowa,
 źródło Amalii, szczawa jodowo-żelazista,
 źródło Józefa, woda żelazista,
 źródło Adolfa, źródło siarczany, i
 Bełkotka, czyli źródło naftowe.

Tutejszy zakład zdrojowo-kąpielny ma 250 pokoiów do wynajęcia, nie licząc w to 20 domów tutejszych wło-

*) Jakoto: wiadomość o kościele Iwoniczkim z d. 3. czerwca 1639 przez F. Lembeka kanonika przemyskiego i sekretarza krakowskiego, tudzież list lekarza polskiego Konrada, do jego kolegi paryskiego Dyonizego, zamieszczony w dziele *Acta Eru-ditorum*. Lipnica 1648.

ścian, u których odpowiednie stancje do pomieszczenia się znajdujemy, dobrze urządzone łazienki z kąpielami mineralnymi, a mianowicie: jodowo-słonymi, żelazistymi, siarczanymi, i to w różnej postaci jako: kąpiele wanne, nasiadowe, natryskowe, nadto są tu także kąpiele parowe i balsamiczne, ze świeżego igliwia przyrządzane.

Oprócz tego Iwonicz posiada wspaniały dom dla gości „Hotelem“ zwany, gmach mieszczący restaurację, cukiernię, przepyszną salę balową, czytelną czasopism i książek; zgoda na środkach leczniczo-zdrowych, na przyjemnościach i rozrywkach miejscowych, na arcypożądanych wycieczkach w sąsiednie okolice, wcale Iwoniczowi nie zbywa.

Do ulubionych wycieczek policzyć tu należy zwiedzanie:

1. Krosna, bystrą Wisłoką oblanego, w nim pięknym starożytny kościół farny, słynny dzwonami, i również starożytny kościół OO. Franciszkanów, z familijnym grobowcem nieszczęsnej rodziny Oświęcimów.

2. O dwie mile od Iwonicza wśród lasu sterczą na skalistym wzgórzu romantyczne zwaliska zamku Odrzykońskiego.

3. W równej odległości zasiadła Dukla, miejsce rodzinne św. Jana, z godnym widzenia kościołem OO. Bernardynów i pustelnią św. Jana.

4. Sanok, jedno z najdawniejszych miast na Rusi, w zachwycającym położeniu wśród gór nad Sanem. Na skalistym brzegu Sanu wznosi się zamek, w którym Władysław Jagiełło wziął ślub z Granowską.

Zdroje Iwonickie tak pod względem chemicznym, jak i lekarskim były wielokrotnie badane, a mianowicie co do ich chemizmu, naprzód przez wielce na polu hydrochemii krajowej zasłużonego Teodora Torosiewicza, a następnie przez A. Aleksandrowicza. Pod względem zaś lekarskim opisywali je dr. Barach, dr. Czelakowski, dr. Warschauer, niezmordowany ich opiekun dr. Moszczański, w końcu zaś doczekały się opisu na polu balneologii krajowej najzasłużeńszego pr. dr. Dietla.

Najnowszy rozbiór chemiczny wód Iwonickich, przez Alexandrowicza w roku 1866 skuteczniony, pouczył nas, iż tutejsze wody, a mianowicie źródła Karola i Amalii, są szczawami słono-bromo-jodowo-barytowymi, w kwas węglowy zamożnymi, z których drugi tj. Amalii zawiera nadto węglan żelazawy; a więc wody tutejsze, dawniej zaliczane do wód słono-jodowych, nie są prostymi solankami jod i brom zawierającymi, ale szczawami, bo obfitują w kwas węglowy wolny.

Najważniejszymi częściami składowymi wód Iwonickich jest sól kuchenna i inne sole chlorowe — nadto

sole jodowe,
sole bromowe,

węglan sodowy, żelazawy i barowy, tudzież kwas węglowy wolny.

Każdemu wiadomo, jak wielce w skutkach lekarskich ważne są powyższe pierwiastki, czyli to w zółzach (skrofulach), czyli w rozlicznych chorobach odznaczających się utworami zbitymi i uorganizowanymi, jakie bardzo często następują po rozmaitych zapaleniach, czyli w chronicznych osutkach i złośliwych wrzodach, czyli w rozmaitych chorobach nerwowych i t. d.

Jeżeli zechcemy zestawzić obok siebie główne składniki wód Iwonickich, i porównać najważniejsze i najpodobniejsze wody zagraniczne z wodami Iwonickimi, to idąc za przewodnictwem czcigodnego pr. Dietla, przytoczymy tutaj jego własne słowa:

„Do tak zwanych źródeł zagranicznych słono-jodowo-bromowych, najwięcej wystawianych i używanych, należą:

Kreuznach w Prusach nadreńskich,
Hall, w górnej Austrii,
Heilbrunn, źródło Adeli w Bawarii,
Krankenheil w Bawarii, i
Luchaczowice w Morawii.

Zestawmy źródła powyższe z wodami Iwonickimi, a okaże się, iż

w jednym funcie wody znajduje się granów	Iwonicz		Kreuznach	Hall	Heilbrunn	Krankenheil	Luchaczowice
	Źródło Karola	Źródło Amalii	Źródło Elżbiety	Źródło Pasila	Źródło Anieli	Źródło Józefa	Źródło Wincentego
Soli chlorowych	64	60	89	97	38	2	24
Soli jodowych	$\frac{8}{10}$	$\frac{1}{8}$	$\frac{1}{33}$	$\frac{1}{3}$	$\frac{1}{5}$	$\frac{1}{100}$	$\frac{1}{8}$
Soli bromowych	$\frac{1}{6}$	$\frac{1}{6}$	$\frac{1}{4}$	$\frac{1}{2}$	$\frac{1}{3}$	ślad	$\frac{1}{4}$
Węglanu sodowego . . .	13	8	—	—	6	2	23
Węglanu żelazawego . .	$\frac{1}{30}$	$\frac{1}{7}$	$\frac{1}{3}$	$\frac{1}{33}$	$\frac{1}{14}$	$\frac{1}{100}$	$\frac{1}{10}$
Węglanu barowego . . .	$\frac{1}{7}$	$\frac{1}{7}$	—	—	—	—	$\frac{1}{4}$
Kwasu węglowego wolnego w całach sześciennych .	11	10	—	—	4	$\frac{1}{4}$	54

Porównyując wody Iwonickie — mówi dr. Dietl — z wystawianymi źródłami kreuznachskimi, do których corocznie tylu ziomków naszych uczęszcza, łatwo się przekonamy, iż one bynajmniej na pierwszeństwo nie zasługują; bo chociaż źródło Elżbiety w jednym funcie zawiera więcej soli chlorowych o 25 granów, to przecież chory pijący wodę Iwonicką nierównie więcej tej soli przyjąć i przetrawić może, aniżeli pijąc wodę kreuznachską, gdyż woda tego źródła pozbawiona wszelkiego kwasu węglowego wolnego, jest, jak się o tem sam przekonałem, obrzy-

dliwą i w nieco większych ilościach pita, wymioty i biegunkę wywołuje. W sole jodowe woda kreuznachska o wiele jest uboższą od wód Iwonickich; a co do soli bromowych dorównywa prawie tym wodom, bo ich tylko o $\frac{1}{10}$ więcej posiada. W sole zaś jodowo-bromowe razem wzięwszy, Iwonicz jest bogatszy, bo ma w 1 funcie $\frac{1}{3}$, Kreuznach tylko $\frac{1}{4}$ grana.

Zawiera wprawdzie Kreuznach w 1 funcie swej wody $\frac{1}{3}$ grana węglanu żelazawego, zatem o $\frac{1}{6}$ więcej od Iwonicza. Ależ tę małą różnicę sowiec wynagradza wolny kwas węglowy wód Iwonickich, za pomocą którego żelazo w nich zawarte, w nierównie większej ilości do krwi dochodzi, aniżeli żelazo wód Kreuznach, pozbawionych tego roztwarzającego kwasu. Nie powiemy już o zupełnym braku węglanu barowego w wodach kreuznachskich, nadmienimy tylko, iż im wcale niedostaje węglanu sodowego, łagodnego a silnie działającego sprzymierzeńca soli chlorowych i jodowych.

Z tego porównania okazuje się, że źródła Iwonickie Karola i Amalii znakomite między wodami słono-jodowymi zajmują stanowisko. Nie wyrównują im wody kreuznachskie, hallskie i heilbrunnskie, bo nie są szczawami, a źródła luchaczowickie aczkolwiek silne szczawy, są wodami alkalizacyjnymi, a nie słono-jodowymi.

Po takim na chemicznym rozbiórce i na cyfrach opartym poglądzie, któż może jeszcze wątpić o większej skuteczności naszych wód Iwonickich? Zwracamy przeto uwagę szanownych kolegów na wielką i niezaprzeczoną wartość wód Iwonickich, aby wysyłając chorych do Iwonicza a nie do Kreuznach, robić to mogli z wszelkiem zaspokojeniem sumienia.

Śmiało przeto i bez wszelkiej przesady powiedzieć można wraz z dr. Dietlem, że wody Iwonickie źródła Karola i Amalii są jedyne w swoim rodzaju, i że nie mają ani w kraju ani za granicą wód sobie podobnych lub równych.

Dr. M. Z.

ŻONA EMIGRANTA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

PRZEZ

J. K. TURSKEGO.

(CIAĞ DAŁSZY.)

IV.

Stara pokusa.

Pan Franciszek Maliński miał wioskę o parę mil od Krakowa i w samym Krakowie piękną kamieniczkę.

Większa połowa jego majątku była wprawdzie nieprawnym jego nabytkiem, ale któż tam będzie tak skrupulatnie wszystko badał, kiedy opinia publiczna orzekła stanowczo, że pan Maliński jest poczciwym i szlachetnym, i ludzkim i tklwym, i religijnym (czyli jak opinia mawia religiantem) i szczodrym i hojnym, bo zawsze główki od cygar przesyłał Towarzystwu dobroczynności, i parę razy do roku pod swoją cyfrą zapisuje się w gazecie na wstydzących się zebrać. Nie jedna żona za wzór uczciwości stawiała swemu mężowi pana Malińskiego, a jego uprzejmość i grzeczność znana była w całym mieście; a mówić nawet o moralności jego, byłoby ubliżeniem jego niepokalanej duszy, bo znałyby to tożsamo, co udowodniać, że śnieg jest biały lub jezuita pokornym. Pan Maliński dawniej bywał w wielu domach i miał znajomości i zażyłości wiele, ale teraz od kilku już lat jakoś ztetryczał, mało gdzie chodził, nierad przyjmował i całą rozrywkę życia pokładał w drzymce poobiednej i ponieszporowym pasyansiku. O co stawiał ka-

bałę, nikt nie wiedział, ale że stawiał, wiedzieli wszyscy, bo go można było zawsze przy niej zastać w godzinach ponieszpornych, przedkolacyjnych. Zmianę usposobienia zacnego pana Franciszka tłumaczyli ludzie rozmaicie. Że zaś nie możemy tu wszystkich wersyi przytaczać, ograniczymy się przeto na autentyczniejszym źródle literackim, z którego rzecz bezpośrednio jest zaczerpnięta.

Było to w r. 18., mniejsza o resztę. Pan Franciszek zwyczajem od dawna przyjętym znajdował się na nabożeństwie majowym w kościele panny Maryi. Było tam dużo osób, więc nie dziwota, że być też mogło nie mało pięknych twarzy. I w istocie też były. Rzecz to zresztą znajoma powszechnie, że majowe nabożeństwa w Krakowie i Warszawie (nie wiem jak we Lwowie) słyną pięknościami majowych powabów płci pięknej. Więc między temi pięknościami była jedna prawdziwie idealnie piękna, eteryczna, lotna, wzruszająca, wzniosła, blada, jak lilia płacząca, wejrzenia natchnień niebiańskich, niebieskich oczu i hebanowej czerności włosów. Była to panienka 18 lat licząca, klęczała na stopniach wielkiego ołtarza przy boku podobnej do niej matki, bardzo miłej i powabnej matrony. Czarny strój, skromny ale gustowny był najodpowiedniejszym ich charakterowi i wyrazom duszy malującym się na



Iwonicez.

(str. 274.)

twarzą. Wszyscy zwrócili uwagę na piękność gorąco się modlącą. Zwrócił ją też i pan Franciszek, kawaler lat 40 blisko liczący, a zwrócenie to uwagi jego nie było tylko przypadkowym, ale u niego zaznaczyło ważną epokę życia. Pan Franciszek z wielkiem upodobaniem poglądał na piękny ideał maju, modlitwy i życia. Jednem słowem zakochał się. Że się to tak prędko stało, nie nasza wina, owszem to oczywista nasza strata, boć każdy wie, że dłuższy wstęp do miłości, tego serca powieści naszych, wdzięcznym jest i popłaca bardzo pod każdym względem. Zakochawszy się tedy pan Franciszek podczas nabożeństwa postanowił natychmiast wszelkimi środkami pójść dalej. Powróciwszy do domu modlił się. Po modlitwie nie jadł już tyle co zawsze, i nie zasnął po raz pierwszy od lat 20tu przed dziewiątą, a co ważniejsza jeszcze, nazajutrz obudzony się pamiętał po raz pierwszy w życiu, że mu się coś śniło. Ludzie zdrowi, tj. ci którzy mają duszę i serce w żołądku, śpiąc trawia, a więc nigdy nie pamiętają co im się śni. Trzeba dla nich silniejszego wrażenia niż bystryk lub madeira, aby im się co przyśniło. Pan Franciszek owej pamiętnej nocy pierwszej swojej miłości, doznał takiego wrażenia w kościele Panny Maryi. Nie śniło mu się wprawdzie nic tak bardzo poetycznego, bo marzył, że był na sutym obiedzie u księdza prałata maryackiego, ale był to zawsze postęp, boć jużci prałat maryacki stał w związku z kościołem panny Maryi, a miłość poczęła się w kościele. Takiemu jak pan Maliński nie trudno było namotać sieć dyplomatycznej intrygi ku dopięciu zamierzonego celu. Pomocnym mu w tym względzie był pan Fabrycy, pokątny adwokat i posiadający wielkie zaufanie bogacza. Pan Fabrycy zajął się gorliwie sprawą, i tegoż samego jeszcze dnia zapukał do pałacu Malińskiego z torbą pożądanych ploteczek.

— Cóż tedy, wiesz? — spytał się zakochany.

— Wiem wszystko.

— Mówże, oto sygara.

Fabrycy zapalił sygara.

— Najważniejsza rzecz, panie dobrodziej, że człowiek posiada wykształcenie.

— Mniejsza o to. Ależ ona?

— Oto chodzi. Gdybym na ten przykład nie umiał po niemiecku...

— To może Niemka?

— Tak jest, panie dobrodziej, ale anioł dziewczyna, i trzeba panu dobr. wiedzieć, że i ona pana widziała i...

— I co?

— I mówiła, że *haben ihr gefallen*.

— Doprawdy? Niemka! Niemka!

— Ale śliczna, a co za rozum, co za serce!

— Wprawdzie, któżby tam dziś na takie bzdurstwa uważał... tylko gmin patrzy się na narodowość... ale zawsze to jakoś...

— Co? Pan dobrodziej boi się...

— Ale któż o tem mówi? Jaby się miał bać! Ja ją uwielbiam nie wiedząc czy Polka, czy Niemka, dość że kobieta i pobożna.

— O co to, to święta prawda, jaka pobożna.

— Ja wprawdzie nie umiem dobrze mówić po niemiecku, ale tyle co trzeba to zrozumieć.

— Ale naturalnie, zwłaszcza że i ona pragnie się nauczyć po polsku. Jeżeli pan dobrodziej każe, ja ją będę uczył.

— Dobrze, dobrze. Ale o tem potem. Teraz powiedźże mi, kto ona jest?

— Jestto córka bardzo bogatego przemysłowca bawiącego obecnie w Ameryce. One tu siedzą tymczasowo tylko, dopóki on po nie nie napisze, lub sam po nie nie przyjedzie, aby powrócić do Niemiec, ich ojczyzny.

— Proszę, proszę, i tyś się już nauczył używać wyrazów patriotycznych... Ale co tam. Więc bogata, to nic... wszystko jedno. Anioł powiadasz?

— Może im pan złożysz wizytę.

— Naturalnie. Jak się nazywa?

— *Luiza Voss*.

— Ślicznie!

Po tym wstępie dyplomatycznym pan Franciszek poszedł do Luizy, i chociaż nie zbyt dobrze umiał po niemiecku, (zwłaszcza był wątpliwy co do konjugacyi słabej i mocnej i użycia artykułu *der, die, das*), chodził codziennie i brnął w miłości po same uszy. Luiza była istotnie piękną, i przyznać trzeba, rozumną. Konkury pana Franciszka przyjmowała wcale uprzejmie, zamiast jednak mówić, że kochanka swego także ogniście kocha, ona mu mówiła zawsze, że miłość jego jest wielkiem dla niej szczęściem, że ją poczytuje za istną łaskę niebios i błogosławieństwo boże. Pana Franciszka te słowa zadowalniały; on zdaje się więcej nie pragnął i nie wymagał. Zachowanie się z nim Luizy było bardzo serdeczne i naturalne, wyraźnie okazywała mu tę radość, jaką napełniały ją jego wizyty. Tak upłynęło dobre pół roku. Pan Franciszek był jakby u siebie w domu Luizy.

Pewnego razu przyszedłszy wieczór zwykłą wizytą do swej niebogiej, zastał ją pogrążoną w głębokim płaczu. Matka jej płakała także razem z córką. Zdziwiło go to także, że kobiety zawsze uprzejmie go witające, dzisiaj nawet uwagi nie zwracały na niego. Coś bardzo bolesnego musiało im się przydarzyć, pomyślał wzruszony widokiem ich łez.

— *Ach mein Mann, mein alter!* — wołała matka.

— *Mein Vater! Mein Vater!* — wtórowała jej Luiza.

— Cóż się stało? — zapytał wreszcie.

— Umiera! oto list, czytaj pan; jego agent donosi nam, że śmiertelnie chory, sam nawet nie pisze, i my go widzieć nie będziemy. O biada nam, biada na wieki!

— Ależ można temu zaradzić.

— Jak! jak! my nie możemy.

— Jedźmy wszyscy — rzekł wtedy stanowczym tonem pan Franciszek.

— Panie! Jakaż wdzięczność! — zawołała Luiza. — Matka jej z wielkiego wzruszenia słowa wymówić nie mogła.

Rada trwała krótko, postanowiono i wykonano. Najajutrz wszystko już było gotowem do drogi. Pojechali. Jakżeż szczęśliwym był zakochany pan Franciszek odbierając przez całą drogę najserdeczniejsze dowody najgłębszej wdzięczności. Czuł się u kresu swych marzeń, gdyż nawet i to także już postanowionem było, że ślub odbędzie się zaraz w obecności ojca w Ameryce, gdzie może dłuższy czas przyjdzie im pozostać. Ani Kolumb nie pragnął tak dobicia do lądu, jak drżący z niecierpliwości pan Franciszek dojeżdżając do ziemi nowej. Z jakimże biciem serca dobijał do brzegu i lądował w porcie, z którego już tylko kilkanaście mil angielskich było do miejsca pobytu ojca Luizy.

— Jest! jest! — zawołała nareszcie wysiadając z okrętu Luiza.

— Kto? — zapytał się pan Franciszek.

— Agent męża — mówiła pani Voss, wyręczając córkę.

— To dobrze! dowiemy się wszystkiego wkrótce. I dowiedzieli się.

Bo skoro tylko tłum podróżnych zbliżył się do czekającego na nich narodu, Luiza ujrawszy blisko siebie tego, którego była już pierwej zobaczyła, poskoczyła ku niemu, a podawszy mu szybko rękę i przyprowadziwszy go przed zdumiałego pana Franciszka, przemówiła.

— Mam honor przedstawić panu pana Wilhelma Schichta, mego od dwóch lat narzeczonego.

Pan Schicht uklonił się. Był to brunet, młody, ładny, dowcipny.

— Jakto?

— Przebac pan, maleńki żarcik, nam się spieszy, musimy jechać do ślubu, skoro się dorobimy, odeszłemy panu wyłożoną na koszt podróży kwotę.

To rzekłszy, nie patrzyli, nie czekali, lecz zniknęli w tłumie.

Szczęście, że w ziemi amerykańskiej nie są w modzie apopleksye z przerażenia i gniewu, bo inaczej pan Franciszek byłby pewno padł ich ofiarą.

Zgrzytnąwszy tedy zębami i zakławszy na czem świat stoi, że się pozwolił wystrychnąć Niemkiniem na dudka, zrezygnował z oglądania rzeczy osobliwych tak dalekiego świata, lecz wsiadłszy na najbliższy statek, kazał się wieść do Europy, układając sobie w niezbyt bujnej fantazyi jakąś tajemniczą historję, która go na drodze spotkała. Że pan Franciszek nie płakał, o tem wiemy z tego samego źródła, z któregośmy ten ustęp zaczerpnęli; że powrócił szczęśliwie do Krakowa, to także każdemu

wiadomo, że zaś ten wypadek wpłynąć mógł na zmianę jego usposobienia i utratę spokoju, to ztąd sumiennie wnosić można, że po ścisłem obliczeniu się z kasą przekonał się, że go cała ta miłość z Luizą wraz z całą podróżą kosztowała 2500 złotych reńskich.

Była to trochę kosztowna zabawka i nauka. Otrząsnąwszy się z pierwszych po niej wrażeń, pan Franciszek postanowił być rozsądniejszym na dal. Nie unikał jednak skutków rozczarowania. Jakkolwiek nie był romantycznym ani romansowym, uleczył się z najmniejszego cienia i pozorów tych słabostek człowieka. Poprzysiągł nigdy się nie dać zbałamucić. Jednym z jego najbliższych przyjaciół był pan Napoleon, słynny w całym Krakowie naówczas literat, historyk i poeta. Był to salonowiec i dowcipniś, któremu rzadko umiał kto dotrzymać w koncepcie. Arystokratycznych manier i zachcianek, bywający na salonach magnatów i w domach obywatelskich, był wielce pożądanym dla takich, jak pan Franciszek wygodnickich, bo im znosił plotki z wielkiego świata, dodawał smaku i szyku, i był jednym słowem mówiąc mistrzem, mentorem ich życia. Pan Napoleon a conto swoich wpływów, pozwalał sobie nieraz bardzo złośliwych figielków, ale uchodziły mu one prawie zawsze bezkarnie wobec zasług na innem polu położonych. Był sławnym i lubionym, to dosyć. Takiemu uchodzi wszystko, a przynajmniej bardzo wiele. Ten tedy pan Napoleon bywał dosyć często u pana Franciszka. Powodem nadto tych bywań była i ta okoliczność, że sławny literat, jak to często się zdarza, stał nie zbyt świetnie materyalnie. Więc trzeba mu było prócz zaszczytu w znajomościach i korzyści. Wzłosem jednak pozornej zażyłości obydwoh tych panów była religijność, ta maseczka dzisiaj tak już zużyta, a jednak używana ciągle, i pewne przynosząca dla wielu korzyści. Pan Franciszek bardzo rad rozprawiał z panem Napoleonem o stosunkach papieża, o których sławny literat miewał często autentyczne z samego Rzymu wiadomości. Czegóż więcej trzeba było. Taki nowoczesny Tecel zdolny bardzo wiele zrobić ze siebie dla dobra Ojca świętego.

Gdy tedy pan Franciszek powróciwszy z Ameryki wpadał czasami w chwilowe zadumy i smutki, pierwszym był pan Napoleon, który go z nich uleczył. Lekarstwo to jego godnem jest kilku wierszy w powieści.

— Oto, co się tam będziesz mój Franiu Niemkinią kłopotić—mówił lekarz duszy jego—głupstwo zrobił i kwita, czas się poprawić. W twoim wieku nie w ten sposób zwykły się kończyć gwałtowne drgawki sercowe. To się zostawia dzieciom i poczynającym pisać wiersze. Tyś powinien otrząść się z tego i wynaleźć sobie przedmiot upodobania odpowiedni twemu gustowi, bez wszelkich z twej strony zobowiązań. Oto widzisz np. hrabia Leopold, człowiek mający już 60 blisko lat, kocha się do dziś dnia, a zdrów i spokojny jak kardynał. Ale jakże się kocha? W tem sztuka.

Wynalazł sobie jakąś tam podobno kuzynkę, ot, kto tam wie, jaką kuzynkę, dość że ładna i młoda. Przyjmuje ją codzień u siebie, ona go kocha i ogrzewa swą szaloną miłością, a on rozplywa się w rokoszach. I nie dobrze to? Tobie więc także radzę mój Franiu zrób tak, jak hrabia Leopold, a będziesz spokojny.

— Dobrze to mój Polciu kochany — mówił na to zarumieniony trochę resztką moralności pan Franciszek — ale czyliż to tak łatwo o kuzynkę ładną.

— O! ba, któżby się tam trzymał dosłownie przepisu.

— Ależ nie chodzi przecie o urodzenie.

— A Niemkini twoja?

— To też to było szaleństwo; a zresztą Voss to dobre imię.

— Znajdą się i dla ciebie dobrze urodzone kuzynki.

— Z ciebie zawsze figlarz.

Jakkolwiek jednak pan Franciszek z początku zarumienił się na moralną radę Napoleona, później tak ją sobie wziął do serca, że mu się zaczęło nieskończenie wiele pięknych korzyści roić z takiego leczenia bólów serca. I myślał szukać kuzynki. Los mu sprzyjał bardziej niż na to zasługiwał. W parę miesięcy po tej rozmowie spotkała go wcale niespodziewana wizyta brata Krzysztofa. Wiemy jak go serdecznie i religijnie powitał i odprawił. Bardziej atoli jeszcze niespodziewaną wizytą po tem było zjawienie się w progu jego domu kobiety pięknej, młodej, brunetki o jasnym oku, wysmukłej kibici, delikatnej cery i nadzwyczaj powabnego ułożenia.

— *If i am sure?* ¹⁾ — zapytała się dzwicznym i nadzwyczaj elektryzującym głosem.

— O co pani pyta? — wyrzekł uprzejmie kłaniając się nierozumiejący jej słów angielskich i podsuwając jej krzesło, na którym usiadła.

— Pan Maliński — wymówiła łamiąc nazwisko.

— Tak jest, jestem nim do usług pani.

— Jestem żoną brata — wyrzekła nadzwyczaj niezrozumiale, tak jednak, że się pan Franciszek domyślił całej historii.

— O wiem teraz, wiem — mówił pomieszany z upodobaniem jednak wpatrując się w jej piękną twarzyczkę — Zapewne ta omyłka jeszcze nie wyjaśniona. Ale pani nie rozumie mnie pewnie. *Nicht verstanden?*

— *Yes, yes i un derstand not* ²⁾ — odpowiedziała.

— Pani pozwoli, ja poślę po mego przyjaciela, który umie po angielsku. Zadzwoń, wszedł lokaj, szepnął mu słowo, lokaj odszedł. Angielka tymczasem siła się na wypowiadanie różnych zdań po polsku, których nie wiele umiała, bo pomimo iż miała męża Polaka, w Anglii nie uczyła się wcale po polsku, a w Polsce jeszcze za krótko

bawiła, aby się tej trudnej dla cudzoziemców mowy nauczyć. Niedługo jednak czekała. Zaproszony pan Napoleon, po którego posłano konie, przybył.

— *So it is you as speak english?* ³⁾ — przemówiła pierwsza do wchodzącego.

— *What do you order?* ⁴⁾ — rzekł kłaniając się szarmancko, z nienacka napadnięty niespodziewanemi słowy, pochodzącemi z tak ślicznych usteczek. Pan Franciszek ich zapoznał. Nastąpiła dyplomatyczna rozmowa przez tłumacza, który z szczególnem upodobaniem popierał sprawę młodej damy. Co tam mówili, i jak się ta rzecz toczyła, to nas nie bardzo obchodzi, dość tylko wiedzieć, że pan Franciszek przekonany, że pani bratowej nie chodzi bynajmniej o pojednanie dwóch braci, ani o los pana męża, jeno o zabezpieczenie swej osoby, za namową pana Napoleona poradził wyszukać sobie w Krakowie tymczasowego mieszkania, które nawet pan Napoleon wynalazł natychmiast w myśli, i umieścić się w niem wraz z maleńkim synem, czekając dalszego rozwoju sprawy. Konsylium udało się. Pani Malińska, nazywana jednak panią Grick, nie powróciła już do domu, i mieszkała w wspaniałym pałacyku za miastem, do którego jak najściślej wzbronionym był wstęp wszystkim prócz pana Franciszka i Napoleona. Ten gość posiadający język angielski i uczący piękną Angielkę po polsku, był koniecznie w jej domu potrzebnym. Zaufany stary Jakub był cerberem pałacu. Trzeba jeszcze dodać, że pani Grick jak najszczerzej uwierzyła, że jej mąż nie był wcale bratem pana Franciszka, jeno że tego oszustwa się chwycił, nie widząc dla siebie innego ratunku wyjścia z biedy. Pomimo to jednakże zapewnił ją w imieniu pana Franciszka pan Napoleon, że o jej mężu pomyśli także jej wybawca, aby i o niego była spokojną.

— *Hear you will be so lik in Heaven, becaus you will change us in angelse!* ⁵⁾

— Sama przy was wyanieleję — rzekła siłąc się na komplement Angielka — i w rzeczy samej uspokojona o męża coraz większej nabywała ufności w swoją dolę.

W kilka tygodni zaszła jednak nagła zmiana w jej zacisku zamiejskiem. Pan Franciszek fałszywym, o ile nam wiadomo, alarmem zaniepokojony, nie miał odwagi dowierzać schronieniu swego skarbu w Krakowie i postanowił wywieść go do swojej wsi o kilkanaście mil odległej od Krakowa. Wówczas to popalił papiery Krzysztofa, których szczątki uratował przezorny Jakub, wówczas udecydowano także ulokować synka w porządnym domu, aby się uczył i chodził do szkoły. Pan Franciszek pojechał wraz z swoją kuzynką na wieś i tam żyli najszczęśliwsi i najspokojniejsi. Że zapomnieli wkrótce o Adasiu, nie mo-

¹⁾ Czy jestem pewna?

²⁾ Tak, tak, nie rozumiem.

³⁾ Czy to ten pan mówi po angielsku.

⁴⁾ Co pani każe?

⁵⁾ Pani tu będziesz jak w niebie, bo nas przemienisz w aniołów.

zna im tego brać za złe, bo któżby tam w takim szczęściu mógł pomyśleć lub kłopotać się o taką bagatelkę, jaką było dziecko sieroce niemiłych wspomnień przeszłości, puszczone przecież pod opieką trzechmiesięcznej gaży w świat po naukę i doświadczenie. Niech się sam chłopak boryka z losem. Będzie mu lepiej. Nabierze doświadczenia, a potem, potem to mu się tam dopomoże do rozpoczęcia jakiego rzemiosła. Nie pięknaż to filozofia! Nie jestże to otwarty gościniec człowiekowi do zajęcia miejsca w pomnikowej księdze Smilesa w szeregu ludzi, wywalczających sobie własną pracę stanowisko i majątek, lub też środek otwierający bramy bezpiecznego pomieszkania w domu poprawy?

Wiemy jak poskutkowała ta filozofia; wiemy co się stało w parę miesięcy z Adasiem; widzieliśmy go, jak na wiek swój zmądrzał, ułatwiając sobie utrzymanie w ogródku pod Wilkiem, widzieliśmy go nareszcie grożącego przez wdzięczność swej matce, uciekającej z krótkich odwiedzin Krakowa wraz z panem Franciszkiem. Lecz po co mamy zamącać jej spokój i szczęście wyrzutami naszej przeciwnej filozofii, kiedy jej z tem lepiej, kiedy ona tak ufa w swoją przyszłość i wierzy w swego nowego wybawcę!

V.

Ej to nie wiosna!

Pięknie i uroczo kończyła się zima 1848 r. w Krakowie. Jakaś wcześniejsza nadzieja ożywiała serca ludzi, czekających wiosny z niecierpliwością. W powietrzu czuć było jakąś roskosz i woń zmartwychwstającej natury, i samo niebo uśmiechało się pogodą, niby zwiastując blizkie roskosze przebudzonej natury. Piękne to były czasy! Ileż w nich słodkich nadziei łez nie spłynęło z oczu, które już może z półwieku przepłakały zwątpieniem i rozpaczą. Ile to złudnych natchnień nie obudziło się w sercach nastrojonych do pieśni zmartwychwstania! Ile tych pieśni nie wyspiewano z zapałem, z wiarą i kłutwą na powątpiały. Kraków dobrze pamięta te czasy, bo został i on kaleką w walce za wiarę w natchnienne zjawiska przyszłości, a jego diatwa smutnem rozczarowaniem przypłaciła rozebrane uczucia zastygłej czas jakiś macierzy.

W r. 1848 mieliśmy w Krakowie konstytucję, mieliśmy gwardyę narodową. Nie zamierzaliśmy jednak opisywać tutaj dziejów tej parotygodniowej wiosny przedwczesnej; wspominamy o niej tylko o tyle, o ile z nią w związku stoi historia naszego Krzysztofa. Po doznanych okropnym zawodzie w r. 1846, pozostawszy szczęśliwem zrządzeniem losu w Krakowie, przeszedłszy znane nam katastrofy osobiste, doczekał się on wreszcie, w pocie czoła pracując na kawałek chleba jako węglarz, tej chwili, w której jako stary żołnierz miał się znów przydać swej braci. Był to uroczysty dzień dla biednego nieszczęśliwca. Stał jak zwykle w gromadce łagodniejszych już dziś dla niego węglarzy

przy ulicy szpitalnej, i prowadził z nimi gawędkę o zmianach polityki w całym świecie. Trzeba bowiem wiedzieć, że klasa tego rodzaju ludzi nie jest obojętną na wypadki kraju i rozwój polityki. Ma ona swoją skalę zapatrywania się na rzeczy, i sądzi wypadki według własnego widzimisie, ale duszy swej polskiej, białej, męczeńskiej nie powalała ani nie zczerniała węglem, który w spracowanej dźwiga ręce!

Węglarze nasi, czy to ze szpitalnej ulicy czy nadwiślańscy, to gorące dusze i silne duchy! Nie są to karbonery spiskowi, ale są to duszą i sercem Polacy, którzyby oczy wydrapali temu, kto by im zechciał dowodzić, że Polska nie ma już prawa do bytu samodzielnego. Przysłuchaj się im tylko. Nie zrażaj się wyrażeniami, w których zamiast wyszukanych frazesów dyplomatycznych usłyszysz prostotę tylko i prostactwo nie raz, ale przekonasz się, że zdrowia i rozumu naturalnego więcej tam daleko, niż w niejednej gazecie politycznej.

— Cóż panie Krzysztofie — mówił Kazimierz już dziś zupełnie inaczej patrzący się na swego towarzysza, bo go poznał ze strony braterskiej miłości i szlachetnych uczuć — będziemy mieli wojnę?

— Coś się na to zanosi, byleby znowu nie skrewili starsi — odrzekł Krzysztof.

— Frajczuz niby? — spytano.

— A Francuz, Francuz — odrzekł Krzysztof potrząsając głową — coś mu znowu za nadto ufać poczynamy. Prawda że dziś jakieś powietrze powiało po świecie, i że wszyscy już zaczynają miarkować, że tak źle z tym uciskiem ludzi, którym nie wolno się nawet ludźmi nazywać, a niedopiero wolnymi, ale coś kiedy to może tylko gorączka. Ja to nie dowierzam tym umizgom ukoronowanych, co ci się kłaniają wtedy, kiedy strach.

— A po strachu wpakują cię do ciupy — wtrącił stary węglarz.

— Mamy ponoć mieć konstytucję — zauważał inny.

— Coś mi ta czytał mój syn w gazecie — rzekł Kazimierz — ale nie wiem, czy to co z tego będzie.

— Dobreby i to było, moi drodzy — mówił Krzysztof — przecież łatwiej człowiekowi odetchnąć, jeżeli mu nie stoi nad ustami żandarm, nie przepuszczający i oddechu z piersi, jeżeli tylko gorętszy a serdeczniejszy.

— A czy też z Prusakiem się kiedy skończy — spytał stary węglarz. Był to Szymon, excieśla, pamiętający bardzo dawne czasy, bo mający już przeszło 60 lat.

— Ej z tym se ta dadzą rady, bo w Księstwie więcej ludzi mądrych, niż u nas.

— Co prawda to nie grzech — mówił Krzysztof — słyszę nawet, że się tam na coś zanosi.

— Żeby tak na raz w Księstwie i w Królestwie ruszyli się ludzie, tobyśmy im mogli pójść na pomoc.

— A będzie to zgoda? — zauważał stary Szymon. — Ten

pójdzie za tym, ten za tamtym. Nie pamiętam to owych czasów, kiedy jedni dopiero co za Chłopskim wrzeszczeli, że nie ma jak ten jenerał na wodza, aż tu ledwie go obrali, jużci bij zabij na niego, że stary, że nie do rządu ale do boju tylko zdalny, a to wszystko do niczego dobrego nie wiecie?

— Oj prawdę macie, mój Szymonie — rzekł Krzysztof — ta niezgoda to największa nasza zguba.

Gdy tak sobie rozmawiają węglarze, nie spostrzegli, jak dosyć spieszonym krokiem zbliżało się ku nim dwóch starych ludzi, którzy dziwnie okazywali jakieś niezwykle usposobienie. Jeden machał chustką w powietrzu, drugi wywijał łaską. Był to Waliński i stary Piotr Wyżga eks-wojskowy, jego gospodarz. Krzysztof spostrzegłszy ich zdziwił się ich niezwykłym ruchom fizyognomii.

— A jesteś, jesteś Krzysztofie! Ważne nowiny, bardzo ważne — mówili obaj razem, rozplómieleni, zachwyceni.

— Cóż? cóż? — zawołali wszyscy węglarze, i z koszami na plecach stanęli w koło mówiących.

— Konstytucja.

— Konstytucja! — zawołali z radością.

— I coś jeszcze bardzo dobrego.

— Cóż, cóż?

— Wypuszczą więźniów, emigracja wróci i...

— I co?

— I gwardya narodowa. — Mówiąc to stary Wyżga — aż chustką otarł pot z czoła i machnął nią przez oczy, może tam co ocierając, i przybrał postawę zwiastuna niespodziewanych rzeczy. Był to starzec, który wiarą w przyszłość odmłodził w tej chwili. Jakiś blask natchnienia jaśniał mu z czoła.

— Gwardya? — zapytali.

— A tak, tak, gwardya, gwardya zbrojna, i po to tu idziemy do was, mój Krzysztofie, abyście postawili kosz w kącie, a przypasali moje stare pałasiwo z pod Grochowa, i dalej działwę uczyć na błonia.

— A nie zapomnijcie dobrze schować kosz, bo się znowu przyda, jak wam pałasz odpaszą ziandary — wtrącił z gorzkim uśmiechem Kazimierz, który nie dał się porywać niepewnym nadziejom.

— Ot nie pletlibyście jak heretyk — rzekł mu na to rozgniewany Wyżga poprawiając konfederatki na głowie — Nie zważajcie Krzysztofie na takie gadaniny, chodźcie z nami, zaprowadzę was do pana komendanta, i będziecie musieli podjąć się nauki musztry.

Śluchający nie mogli pojąć słów Wyżgi. Zdawało im się, że żartuje stary, lub oszalał, ale taka prawda drżała w jego głosie, taka jasność świeciła mu z oblicza, że wszyscy w końcu uwierzyli w coś dobrego i westchnęli do Boga za pomyślność pięknych nadziei.

Takiej pięknej chwili doczekał się Krzysztof po powrocie ze swej emigracji. Szczęście doznane w niej trwało

jednakże nie długo. Uczył wprawdzie pocziwy tułacz, z pałaszem Wyżgi przy boku, krakowską działwę musztry i ruchów wojskowych na błoni, żył rokoszą nadziei dni kilkanaście, zapomniał nawet o żonie i koł się widokiem nawróconego syna i uczącego się pilnie w warsztacie; ale gdy nadszedł dzień 26. kwietnia, gdy po uroczystem święconem w sali teatralnej, gdzie tułacze ze wszystkich stron świata po polsku jajkiem się dzielili święconem, nastąpiło miast prawdziwej wiosny i zmartwychwstania — bombardowanie Krakowa, opuścił ręce, zardzewiały pałasz upadł mu z jękiem rozpaczy na ziemię, a oczy łzami zwątpienia zaszele podniosły się z wyrzutem ku Bogu!

— Nigdyż więc, nigdy już biedny wygnaniec twój, o Polsko! nie będę mógł zapłakać łzami szczerej wiary w twoje szczęście! — Tak zawołał, i serce ścisło mu się z bólu, i znowu się na swojej ziemi uczuł tułaczem, wygnane. Znowu się trzeba było podszyc pod przybrane nazwisko angielskie, na które wydany paszport zapewniał mu jakie takie osobiste bezpieczeństwo. Chwila nadziei minęła i swem zniknięciem zakrwawiła jeszcze bardziej wszystkich serca rozdrażnione, niby senną rokoszą.

— Ej to nie wiosna! mówiłem — rzekł znowu stary Kazimierz do swoich towarzyszy przy ulicy szpitalnej — czy nie miałem racji, powiedźcie teraz sami. Szymona nam zabito, ten pan Krzysztof coś pono pochorzał, każdy z nas dzisiaj taki jakiś kwaśny, jakby po strasznej pijatyce, i tyle z tego wszystkiego. Dobrzem mówił Krzysztofiowi, ażeby nie zgubił koszyka, bo mu się jeszcze przyda na ten nasz posterunek.

— Aj prawdać, prawdać! Żle z nami, bardzo źle.

— Ale nie myślcie, aby już nigdy nie miało być lepiej.

— Daj Boże! daj Boże!

— Musi być! Jak Boga kocham, musi być lepiej i będzie, ale żeby ino nie wierzyć w tego Frajcuza, co nam zawsze mydli oczy nadziejami. Będziemy widzieli, że skoro tylko sami o sobie pomyślimy, a weźmiemy się szczerze do roboty...

— Cyt Kazimierzu, ziandary idą od miasta.

I ucichli i stanęli z koszami na plecach, czekając zarobku.

Krzysztof w sam dzień bombardowania Krakowa położył się do łóżka. Złamany rozczarowaniem i zawiedzionymi nadziejami, upadając moralnie upadł i fizycznie i wpadł w ogromną gorączkę, która mu długą rokowała chorobę. Choroba ta istotnie nadeszła, a gdy z niej biedny człowiek się dźwigał, przedstawiał obraz bardzo smutnego usposobienia. Nie był wprawdzie obłąkanym, ale myśli jego w dziwną popadły apatyę, niby wiedział o wszystkim, a niby go nic nie obchodziło, niby pamiętał, a jednak czasem nic sobie przypomnieć nie mógł. Żył nie żyjąc, a czasem znowu bywał zupełnie przytomnym i zdrowym. Lekarze utrzymywali, że to skutek ostatniej choroby, który

minie, i starego Wyżgę, pielęgnującego Krzysztofa jak brata, pocieszali nawet nadzieją prędkiego powrotu do zupełnego zdrowia ciała i duszy; ale pociechy ich jakoś się nie sprawdzały, bo Krzysztof powstawszy z łóżka i chodząc już dobrze o swoich siłach, na umyśle był ciągle przytępiony. O żonie nie nigdy nie mówił, o syna często się pytał i cieszył się wiedząc, że się zupełnie poprawił, i wychodzi na porządnego człowieka. Najczęściej mawiał o Polsce.

— Biedna moja ojczyzna, biedna, jako orlica biała z porzwanionem skrzydłem pragnie się wzbąć ku niebu, a nie może. Któż ją tak strasznie ugodził! Któż jej uleczy ranę. Kiedyż wzleci ze skargą na ludzi do Boga.—To było jego zdanie, rozdzierające serca słuchających. Powróciwszy do sił, powrócił także z Koszem na róg ulicy szpitalnej. Mówił mu wprawdzie Wyżga, że niepotrzebnie to robi, gdyż to co on ma, wystarczy dla spokojnego życia obydwóch, ale Krzysztof gniewał się tylko na tę mowę.

— Tam mi dobrze mój panie Wyżgo! Tam będę czekał znowu, rychło po mnie przyjdziecie znowu a przypaszeć mi pałasz.

Nie można się mu było sprzeciwić; poszedł z koszykiem i zarabiał po kilkanaście krajcarów dziennie, znosząc cały zarobek do domu i gospodarując nim ekonomicznie. Ale uśmiech nie powstał już na jego twarzy, spokój nie wrócił do duszy. Gdy go kto przyjacielsko pocieszał i goił ranę duszy nadzieją, wznosząc oczy do nieba zwykł był wtedy mawiać: Ej to nie wiosna! mój bracie.

Pamiętają Krakowianie tę postać z bladym obliczem, pochyloną ku ziemi i tak uprzejmie posługującą w noszeniu węgla; nie jeden powierzchownością jej ujęty chciał nieraz dobadać się tajemniców duszy, usłyszał jednakże ze zdziwieniem owe tajemnicze dla ogółu przysłowie węglarza: Ej to nie wiosna, i przestawał badać znużonego i złamanego życiem człowieka. A on tymczasem żył pracując ciągle na kawałek chleba, ciesząc się widokiem pięknie rozwijającego się Adasia, który swym nawróceniem się zadał kłam często słyszeć się dającym twierdzeniom, że taki mały zbrodniarz, jakim był syn Krzysztofa, przynosi już z sobą w chwili urodzenia zaród złego i przeznaczenie nieszczęścia. Na Adasiu pokazała się nieprawda tych twierdzeń. Upadły bardzo nisko dlatego tylko, że został z macierzyńskiej wyrzucony opieki i wpuszczony między zaraźliwą zgraję zepsutych chłopców, ocknął się później, podniósł i wstąpił na drogę prawdy i cnoty, skoro mu tylko podano serdeczną rękę miłości i troskliwości bezinteresownej. Ileż to zbrodni i nieszczęścia powstrzymałoby się w ich zarodzie, gdyby tylko było więcej ludzi gotowych do zajęcia się za młodu upadającymi. Ochronki Pestaluzzego odpowiadają bardzo dobrze tej gwałtownej potrzebie naszego społeczeństwa i dzięki wszystkim, którzy je u nas rozpowszechniają.

Po skończonej całodziennej stojce na rogu ulicy szpitalnej, wracał pocziwy Krzysztof do swego kąca na Wesołę, a po drodze pomodlił się zawsze przed kościołem panien Karmelitanek, za którym niedaleko stał domek starego Wyżgi. Staruszek ten dobrze już wiekiem pochylony, pokochał całym sercem Krzysztofa. Cieszyło go to i dumnym prawie był z tego, że i on miał niejaki udział w nawróceniu i ukojeniu Krzysztofa. Bo kiedy przybył do jego domu po raz pierwszy z Walińskim, i kiedy zaraz tego samego wieczora usłyszał jego historię, wypowiedaną szczerze i otwarcie, pierwszy zaklął Krzysztofa, że nie będzie się upijał, i że śmiało spojrz w oczy przeznaczeniu. Teraz codziennie z niecierpliwością wygląda jego powrotu. Zawsze tam coś dla niego przygotowuje w domu, czy to zupki trochę z obiadu, czy mięska dobrego kawałeczek, a cieszy się i nadskakuje biedakowi, kiedy zasiędzie do jedzenia i opowiada wrażenia dnia ubiegłego. Siwiuteńki jak gołąbek, dziwnie pięknie wyglądał ten pocziwy starowina z całą swoją miłością, jaką otaczał Krzysztofa. Że nawet nie chciał go puszczać na stojki z koszem, o tem wspominałem, ale to było nadarmo. Chodziło mu więc teraz o to przynajmniej, aby biedaka czasem rozrywać, rozpogadzać. Niktby może nie uwierzył, z jaką troskliwością przypominał sobie pocziwy Wyżga różne z dawnych lat anegdoty i porządkował je w głowie przez cały dzień, aby nimi bawić Krzysztofa. Krzątając się koło swego skromnego gospodarstwa, w którym go wnuczka Marynia troskliwie wyręczała, stawał naprzykład nagle z garnuszkiem masła w ręku na środku spiżarni, i uradowany myślą, która mu zabłysła w głowie, dotąd stał i dumał (czasem i z godzinę to trwało), dopóki całej sobie anegdoty nie przypomniał.

— Mam, mam — mówił potem niosąc masło czekającej na nie gosposi — będzie się musiał śmiać Krzysztof, pyszna anegdota. Wiesz Maryniu, przypomniało mi się o rysiatku z Nieświeża. Nie wiem czy ci to kiedy opowiadałem. Bardzo ładna historyjka. Młody paź nie mając pieniędzy od ojca organisty, a widząc jak drugie chłopaki u księcia Radziwiłła grywają w kości, wpada na taki koncept: Będę grał z wami. Co wygram to moje, a za to co przegram, tyle razy w nos kartą spiącego księcia uderzę, ile tynfów przegram. Przystali. On tak robił, rzecz się wydała, ale chłopak pomimo chłosty odebranej, otrzymał jurgielt i fawor księcia. To doskonała historyjka. Opowiem ją Krzysztofowi z całemi figurami. A czytałem to w ślicznych pamiętnikach Soplicy, to wiem, jak się to taka rzecz o księciu Radziwiłlu opowiada. Ho, ho! panie kochanku, ja to czytałem. A dobrze, że mi też to na myśl wpadło. Musi się rozśmiać stary węglarz.

Ale cóż? Chybały najczęściej wszystkie przygotowania pocziwego starowiny, bo Krzysztof słuchał i słuchał, a w końcu gdy go do śmiechu pobudzał Wyżga, mawiał

zawsze: Ej to nie wiosna. Czasem się Wyżga aż gniewał na tę zakamieniałość usposobienia Krzysztofa, ale trudno było ją przełamać, kiedy to była choroba. Nie było na

nią lekarstwa, czas jeden chyba, lub jaka pomyślna okoliczność mogłyby go tylko z niej wyleczyć.

(Dokończenie nastąpi.)

K R O N I K A.

Z kraju.

Z LWOWSKIEJ WYSTAWY OBRAZÓW.

I.

Inne wywiera wrażenie kościół podczas wystawnego obchodu obrzędowego, a inne, gdy cichej ofierze krwi Pańskiej wtórują tylko łagodne organy lub szmer modłów. Inne też ma lice wystawa w święta i niedziele, inne w dnie powszednie, gdy tu i ówdzie przemyka się cicho postać widza zamyślonego, albo z kozetki przeglądając po obrazach zapuszcza się w sfery krytyki lub marzenia.

Zaliczycie i mnie do marzycieli, ale cóż robić? Dla mnie wystawa jest świątynią tylko w te ciche godziny dni powszednich — chociaż z powinności, choćby tylko jako publicysta uczęszczam pilnie i w gwarne dnie świąteczne. Publiczność rzadko bywa sędzią sprawiedliwym, a przecież wyrok jej za słuszny brać należy, jak wyrok sądu przysięgłych, bo za nią prawo terażniejszości. Publiczność polska, nigdzie niewystępująca jako ciało jednolite, rozbita w obozy nieokreślone, rozprysnięta w koterye bezbarwne, w opinie luźne — lwowska mianowicie publiczność, która zwykle ukocha, aby tem złośliwiej porzucić, wywyższa, aby tem boleśniej powalić, która tworzy sobie znakomitości, aby mieć gotowy kiedyś przedmiot do pomiatania i urągania, zawsze jednak jest publicznością, owym populus, który ma być, a czasem bywa istotnie głosem Boga, przynajmniej o ile posiada siły budowania i niszczenia. Widzę, że niepodobna w jeden akord zgarnąć te różne tony, w jedną wyrazistą barwę te różne barwy i odcienia barw opinii publicznej, myślę sobie swoje, a jednak liczyć się w moim sądzie muszę z tą opinią.

I zdaje mi się, że wiedzą o tej powinności swojej te obrazy, rysunki, sztychy i rzeźby, jak poczuwają się do niej i artyści, i ci, co zdala od miejsca wystawy, i ci, co przesuwają się tu wśród tłumu, wśród grup przyjaciół i grup obcych, lub zgola obojętnych, to z wyrazem udanym pewności siebie, to tłumiąc bicie serca w piersi. Biedni artyści, biedne obrazy! Istne gladiatorzy, z smętnem na ustach pozdrowieniem: *Moriturus salutant te Caesar!* W ogniskach opinii, wyrażającej wyrok świata, w ogniskach samoistnych sztuki sława tego, co godne sławy, roznosi się w lot, rośnie z dniem każdym, z każdym opinią objawem; wykluwająca się piękna roślina znajduje rękę, co ją nachyli ku światłu, da podporę, przygarnie garstkę ziemi; mierność nawet pochwyli tam szczyptę należnego sobie uznania. U nas widzą piękności bezwiednie; ale z jaką świadomością, a z jaką to wymową apodyktyczną znawców wytykają wady, usterki, może konieczne dla dopięcia głównego zadania; z jakim sprytem, z jakim obowiązkowym przekonaniem

zmyślają je sobie! Pokochać, znać się na rzeczy, mało dane komu, trzeba do tego serca i pracy, ale krytykiem a lekarzem jest u nas każdy z urodzenia, jak hrabia za granicą.

Trzeba nad tem ubolewać, bo to i objaw sam przez się smutny, i drażliwych z natury artystów spycha z toru swobody, niezbędnej nawet dla geniusza. Ale dziwić się niepodobna. Popatrzmy na nasze gmachy i domy, na ściany naszych pokojów, zagłębimy w nasze szkoły, biblioteczki domowe i salony, w nasze rozprawy i rozbiory estetyczne pod względem sztuki plastycznej, a brak wykształcenia i choćby lada jakiego wychowania estetycznego uderzy oczy, jak pył naszych ulic, jak brud naszych dziedzińców i schodów. Jest u nas klasa zamoznych, która przebiega galerye i muzea Niemiec, Francji i Włoch, ale tylko przebiega, niepodobna w tem do szlachty Węgier, Niemiec, Francji, Anglii i Włoch, a nawet Moskwy. Pisarze z powołania szamocą się z jutrem, i ledwie któremu pozwalają Bogi dotrzeć choć do Krakowa, ztąd bywa ten i ów *ex libro doctus*... Artyści nasi — czyż losy dla nich w ogóle są przyjaźniejsze? A przecież udział jest żywy u wszystkich klas — świadkiem tego liczba widzów i liczba wystawiających. A zatem jest podwalina, na której kiedyś piękny gmach się wzniesie. Udział ten jest żywszy jeszcze w Beocyi lwowskiej niż w Atenach podwawelskich, gdzie sztuka i historia od wieków składały swoje klejnoty, gdzie pierwsza lepsza sień starej kamienicy więcej warta, niż cała ogromna koszara, zwana ratuszem lwowskim; na które patrzą urocze Tatry, od których krok tylko spacerowy do galeryi Wiednia i Drezna. Jest tu we Lwowie ruch, życie, niewyfermentowane wprawdzie, błakające się i płaczące, ale żywe, ku przyszłości. A takie życie jest powietrzem dla wszystkich czynności publicznych niezbędnem, główną natchnienia hipokrena.

Życie to lwowskie i w ogóle galicyjskie, jak Saturn pożera swoje dzieci, jak Cezar potrzebuje konających gladiatorów, ale to nie zawsze tak będzie. Nie zawsze będziemy ciemni, nie zawsze od świata odgraniczeni, i serce w nas uderzy! Pomogą w tem właśnie wystawy, pomoże pojęcie zadania i stanowiska, jakie zajmuje u nas dzisiaj sztuka plastyczna. Wspomnijmy tu Matejkę, Grottgera, a powiedzenie moje ostatnie będzie jasne.

W mogiłach nasi mężowie stanu, żołnierze, wielcy poeci, po których znalazł świat Polskę porozbiorową, czcił i wielbił; na których barkach wysoko jaśniała, choć odarta z korony udzielnosci, tarcza Polski; z których geniuszu czerpała ukrzyżowana Polska sił do wytrwania, do walki orężem i pracą pokoju, do istnienia. Czemże dla zagranicy jest ta Polska bez armii, bez orderów, bez dworu? Czem jej zaimponuje? Czem wobec niej zamanifestuje, iż nietylko jest, ale żyje? Za ostatnią miedzą

roli polskiej, za ostatnim płotem chaty polskiej toną w puszczy bez echa nasze wołania. Mer śniadał, jakżeż gmin może być głodny? Znajdujemy sympatyę, ale nie interesujemy! Spotykamy serca przychylne, ale nie chętne do pomocy dłonie! Nasz Parnas oniemiał, nasze armie w grobach, nasze akademie, laboratorja nie istnieją, nasz sejm, nasza delegacja brzękiem komara dla świata. Jedne tylko otwarte nam szranki. Tylko o ile wystąpimy z dziełem znamieniem na polu konkurencyi powszechnej, na neutralnym gruncie wspólnej pracy narodów, dowiaduje się zagranica, że Polska żyje, że są Polacy, i wtedy w Polaku nowa budzi się otucha, na nowo namaszcza się Polak do ofiar bez granic. Cierpienia nasze, nasze położenie topograficzne, nie przypomniły nas lekkiemu Francuzowi, zinnemu Anglikowi, zarozumiałemu Niemcowi, ale przypomniła Polonia, Lituania, Wojna, przypomniła Sejm grodzieński! W tej chwili podjął pędzel i krede geniusz Polski, jak niegdyś oręż i lutnię, aby świadczyć, że ona żyje, że żyje własnem życiem; paletą zasłonił Polskę, farbą wlewa potęgę wytrwania. Uznajmy to! Czcijmy i najniższego z jego wybrańców! Z miłością wступujemy w świątynię tego geniusza, choćby dzisiaj tak niepokążnej, jak ta wystawa.

Dzień powszedni... Między ścianami wystawy przesuwają się tu i ówdzie widz, albo patrzy zamyślony, jak w kaplicach kościoła, kiedy tylko szept nabożnej modlitwy albo krok miłośnika sztuki budzi ciszę murów i posągów. W taki dzień tylko własnem żyją życiem obrazy, rysunki, sztychy, rzeźby, zdają się odrywać od płótna, od papieru, od kamienia; w postaciach krew zatętnia, oczy patrzą, liście drzew szeleszczą, ożywia się błękit. Chaos różnych scen i widoków powoli się rozplątuje, układa w osobne grupy, jak chciał artysta; prawda występuje plastycznie, bez zarozumiałości, ale śmiało; blichtr i róż opada z fałszu i kalectwa, mimo usilnej staranności twórcy. Prawda nieprzygłuszona przez tłum zezem szyderstwa, bezmyślnym uśmiechem głupoty, paplaniną obojętności, szelestem jedwabiu, skrzypieniem korków, miganiem rąk i parasolek, powiada: Jesteś znawcą, to mię oceni i uszanuj; jesteście miłośnikami, to przynajmniej mię pokochaj!

Alpy i Zniesienie lwowskie, morze Neapolu i Gopło, lodowce i alea dworska, Kampania i Tatry, jarmark i wnętrze katedry na Wawelu, pauper i Litawor, mój sąsiad i Zygmunt z Barbarą, kulig i śmierć z nędzy, Łokietek i Sybir, chata nasza i biblia, flisak i Grażyna, dziecko i Miecznik, wycieczka na motyle i polowanie na wilki, pożar i wywrócona maślnica, Libelt i dziewczę rembrandtowskie, August II. i handeł, miłość i zdrada, kwiat i turnia, zamek Habsburgski i zamek Oleski, Sukiennice i Zarwanica, Wawel i wioska ruska, ulani w Chantilly i Cyganie, Madonna i Żydzi, sielanka i Borysław, Ukraina i Kościelisko, przysięga Jadwigi i pani Twardowska, chłopiec borykający się z losem i Gołuchowski, rzeź Słowian i szarża kawalerji polskiej, Kątski w Kamieńcu i Zosia między drobiem, kołodziej z Poturzycy i Długosz, narzeczona Grotgera i Niemeczka, szlachta polska i gameny pragskie, alarm i powrót z pola,

artyści nasi z kraju i z wygnania,
mistrze i uczniowie,
zmarli i pasujący się z jutrem,

których świat sławi i którzy utoną w zapomnieniu,
płótno i papier, kamień i glina,
akademik i samouk,
postęp, zastój i upadek talentu,
praca, studjum i pobieżność,

itd. itd.— oto ogólny szkic niniejszej wystawy. Cała Polska w pracy, praca polska z jej zaletami i wadami, dzieje Polski, dzieje serca i rodu ludzkiego, uciechy zaściankowe i boleść całego narodu... Ież to walki z sobą i z jutrem, miłości i zwątpienia, pomysłów i oporu materji, ile lez i szczęścia poszło... a może jeszcze nie przeszło, nim zapełnione zostały te ramy, ożywione te kamienie! Studium to rozległe, godne zajęcia rzetelnego znawcy. Mnie wypada zaledwie skreślić ogólnie grupy i podnieść w nich szczegóły, wybitniejsze dla oka miłośnika.

Na zakończenie tego wstępnego szkicu dodam, że wystawa ta ustępuje zwyczajnym wystawom w bliższych nam krajach niemieckich tylko co do liczby wystawionych utworów, ale nie co do wewnętrznej wartości. Posiada ona nawet utwory specyalne, jakich i sławniejsze od tych wystawy nie miewają. Obecnie na wystawie w Wrocławiu, zdaniem pism wrocławskich, najcenniejszym obrazem historycznym, perłą, jest Marya Antoinetta w więzieniu, Piotrowskiego, który to obraz znakomity był we Lwowie na wystawie zeszłorocznej, a przez znawców lwowskich dość lekko traktowany.

P. K.

(Spirytyzm we Lwowie). Od lipca r. b. ma wychodzić we Lwowie, jak się dowiadujemy z ogłoszonego właśnie programu, dziennik spirytystyczny pod nazwą: „Światło zagrobowe“. Już sam tytuł ten, uzurpujący nazwę światła dla nieprzeniknionej nigdy ciemności, jest dostatecznym, by pobudzić do śmiechu każdego rozsądnego człowieka; ale poprzestać na śmiechu tylko, to zdaniem naszym za mało. Słyszając nieraz o krzewieniu się tego szarlatanizmu na Zachodzie, a szczególnie w Niemczech i we Francji, nie przypuszczaliśmy nigdy, by u nas mógł się znaleźć grunt dla niego; raz dlatego, iż z natury już nie posiadamy sprytu spekulacyjnego, a po wtóre, iż nasze życie narodowe jest dziś zanadto poważne i święte, by się ktoś poważył uwłaczać mu podobną niedorzecznością. Stało się jednak inaczej; znaleźli się tacy, którzy nie szanując ani grozy męczeństwa, ani powagi ducha narodowego powzięli zamiar szerzyć najzgubniejsze obałamucenie w kraju i wyzyskiwać łatwowierność ludzką. Z naszego więc stanowiska wobec publiczności poczuwamy się do obowiązku, wystąpić stanowczo przeciw podobnemu przedsięwzięciu, i ogłosić je tem, czem jest w istocie, to jest prostem szarlatanizmem.

(Nowe pisma ilustrowane). Odkąd weszło w życie wydawnictwo naszej „Strzechy“, powiększa się z każdym rokiem poczet polskich pism ilustrowanych. Tak powstały z początkiem r. b. dwa pisma tego rodzaju, mianowicie „Mrówka“ we Lwowie, i „Sobótka“ w Poznaniu, a teraz mamy pod ręką prospekty dwóch nowych, a raczej przybierających tylko szatę malowniczą pism, które mają wychodzić w Krakowie. Pierwszem z nich jest istniejąca od kilku lat już „Kalina“, która przyjęła teraz w swój program ilustracye, a drugim założony

w miejsce zwiniętych „Nowin ze świata“ dziennik ilustrowany „Włóścianin“; obadwa te pisma nie zmieniają pomimo to swoich dawniejszych warunków prenumeraty i obiecują nawet w pomyślnym razie premie swoim abonantom. Wiedząc, jak potężny wpływ wywiera słowo skojarzone z obrazem, nie możemy jak tylko cieszyć się z tego objawu w literaturze naszej; ale chociaż z całego serca życzymy szczęścia rówieśnikom naszym, nie możemy przecież wstrzymać się od skromnego zapytania: Czy nie będzie nas za wiele w końcu?

(Wielka historyczna rocznica unii lubelskiej) jest już bardzo bliską. Czyli, jak i gdzie będzie ona obchodzoną, nie postanowiono jeszcze nic pewnego; ale z przyjemnością zapisujemy, że dr. Smolka poruszył bardzo szczęśliwą myśl usypania na pamiątkę tego ważnego dla narodu aktu kopca na samym szczycie naszej Góry zamkowej, gdzie dotąd jeszcze znajdują się szczątki zamku, zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego. Plan tego kopca przedłożył szanowny wnioskodawca Radzie miejskiej, która bez wątpienia przyjmie ten wniosek jednogłośnie. Gdy rzecz cała będzie już stanowczo ułożona, podamy plan tego kopca w piśmie naszym, jak również nie omieszkamy wkrótce zapoznać czytelników naszych z szacownymi szczątkami wielkiego „Króla chłopków“, które odkryto teraz w katedrze krakowskiej.

Ze świata.

(Katechizm demokratyczny). Jeden z dzienników francuzkich ogłosił niedawno katechizm demokratyczny, który obiega teraz w odpisach po całym Paryżu, a z którego pozwalamy sobie przytoczyć następujące ciekawe ustępy:

Kto stworzył rząd i zaprowadził go na świecie? — Lud.

Co to jest lud? — Związek ludzi zacnych obojga płci, wszelkiego wieku i stanu, którzy pracują, cierpią, pragną, spodziewają się, walczą, płacą podatki i ponoszą wszelkie ciężary państwa.

Na co lud stworzył rząd?—Ażeby tenże kochał go, służył mu, bronił go od nieprzyjaciół zewnętrznych, czuwał nad bezpieczeństwem obywateli, nad dobrym stanem dróg, nad należyty zarządkiem sprawiedliwości i finansów, i nad utrzymaniem wolności.

Co to jest wolność?—Wolność jest to swoboda udawania się wszędzie, prawo mówienia, pisanie, drukowanie, zakładania towarzystw, nauczania i w ogóle czynienia wszystkiego, co nie szkodzi bliźniemu.

Jakie są obowiązki rządu względem ludu? — Takie, jak stworzenia względem stwórcy. Rząd, stworzony na to tylko, ażeby wypełniał wolę ludu, powinien słuchać każdego objawu tej woli.

Więc lud jest nieomylnym?—Nie; lud zarówno nie jest nieomylnym, jak wszyscy inni władcy; może jak oni popełniać rozmaite głupstwa, ale dopokąd zachowuje swoją wolność, dadzą się te głupstwa naprawić, i natychmiast odzyska on napowrót zdrowy rozum ludzki; byłoby jednak daleko niesłuszniej, gdyby lud musiał słuchać ministrów, którzy nie posiadają żadnego zaufania.

Czy zdarzył się kiedy przykład, by minister złożył sam swój urząd? — Żaden minister, w żadnym kraju na świecie, nie złożył jeszcze sam swojego urzędu, czyli mówiąc stylem urzędowym, nie podał się sam do dymisji. Takie bohaterstwo nie jest wrodzone człowiekowi, chyba gościec lub inna choroba przykuwała go do łóża. Ale w krajach parlamentarnych daje się ministrowi odpawę, jeżeli sam jej nie żąda, i to jest właśnie najważniejsza i najpożyteczniejsza funkcja królów konstytucyjnych. Tym sposobem unika się gwałtownych rewolucji.

Są to prawdy, którym niepodobna zaprzeczyć, a przecież... Ale nie zapuszczajmy się w politykę.

(Kształt ziemi). Że ziemia nasza zmienia nieustannie, chociaż bardzo nieznacznie postać swoją, jestto fakt udowodniony już dawno przez geologów. Mianowicie nie ulega żadnej wątpliwości, że niektóre okolice południowe zapadają się coraz więcej, gdy przeciwnie północne podnoszą się. Różnica ta przedstawia się najwyraźniej między półwyspami skandynawskim i włoskim. Linneusz nazначył w swoim czasie na skale pod Upsalą (w Szwecji) wysokość morza, teraz znajduje się ten znak kilka stóp nad powierzchnią morza. Przeciwnie na wybrzeżu włoskiem świadczą leżące na pół pod wodą ruiny starożytnej świątyni w Paestum o powolnem zapadaniu się ziemi. W Saint Brient na wybrzeżu Francji widać podobne zapadanie się ziemi, i zjawisko to jest tem ciekawsze, że można na podstawie miejscowych podań od XIII wieku śledzić tam krok za krokiem posuwanie się morza. Badania archeologiczne, przedsiębrane niedawno na wybrzeżu tamtejszem, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do kształtu półwyspu Cotentin w owym czasie. Wówczas była wyspa Aurigny połączona ze stałym lądem i stanowiła północno-wschodni punkt półwyspu. Odosobniona już wtedy wyspa Guernsey miała czterokrotnie większą powierzchnię niż dzisiaj; cieśnina morska, szerokości do 9000 stóp, dzieliła ją od stałego lądu, który zaczynał się pod Jersey; Causey, które leży dalej na południu, stanowiło również część półwyspu. Zapadnięte wybrzeże wynosi w niektórych miejscach 35000 do 40000 stóp; największa szerokość jego jest na zachodnim wybrzeżu półwyspu Cotentin, najmniejsza na północnym wybrzeżu od Hague do Barfleur. Wszędzie na tym zapadniętym teraz pasie ziemi znaleziono ślady lasów i pomieszczeń, a nawet odkryto koryta rzek i strumyków. Język włóścian na wyspach Jersey, Guernsey, Causey i Aurigny jest narzeczem normandzkim, zupełnie podobnem do tego, jakim dziś jeszcze mówią mieszkańcy w Portbail i Régnéville.

(Szkaradna niewdzięczność). Ostatnia walka wyborcza we Francji była, jak z dzienników wiadomo, bardzo gorąca. Nie obeszło się przy tem bez kolosalnych reklam stronnictw i osobistości, a szczególnie partya rządowa manewrowała przekupstwem na wielką skalę. Dziś gdy burza już przeminęła, wychodzą na jaw rozmaite komiczne epizody, a jednym z najzabawniejszych jest następujący:

Pewien kandydat rządowy, naśladowując przykład swojego kolegi, który rozdał pantalone gwardzistom narodowym w swojej wsi, przyrzekł pompierom swojego okręgu wyborczego kaftany flanelowe, z tem jednak wyraźnem zastrzeżeniem, żeby głosowali za rządem, gdyż w przeciwnym razie poodbiera im kaf-

tany. Pompiery nie odpowiedzieli nie i przyjęli kaftany; zdawało się tedy nie podlegać wątpliwości, że władza panująca zwycięży.

Nadszedł dzień głosowania. Kandydat rządowy siedział w swoim pomieszkaniu i oczekiwał rozwiązania. Nagle otwierają się drzwi i wchodzi służący. — „Jest już rezultat?“ — pyta kandydat. — „Gdzieżtam; oddano tylko ten pakiet dla pana.“ — Kandydat otwiera pakiet i znajduje w nim kaftan flanelowy. Mniejsza z tem — pomyślał kandydat — oddaje to pompierski, który w ostatniej chwili przeszedł do opozycji, gdyż kaftan jest już noszony.

Po upływie półgodziny zadzwoniono powtórnie. Wchodzi służący i przynosi znowu pakiet, zawierający również przenoszony kaftan. — Głupstwo — mówi do siebie kandydat — to zapewne przyjaciel tamtego. Znowu upływa pół godziny; drzwi się otwierają, służący przynosi trzeci pakiet z takim samym ładunkiem. Kandydat zaczyna się już niepokoić. Po chwili nadchodzi czwarty, piąty, szósty, siódmy i ósmy kaftan. Do wieczora odebrał czterdzieści dwie paczek. Nazajutrz przyniesiono mu na dzieńdobry kaftan flanelowy; przez cały ten dzień odbierał znowu aż do wieczora kaftany flanelowe, a na trzeci dzień powtórzyło się to samo. Deszcz kaftanowy nie ustawał; kandydat bowiem rozdał ni mniej ni więcej, jak sześćset pięćdziesiąt egzemplarzy tego ubrania, i miał tę przyjemność odbierać wszystkie z osobna. Można sobie wyobrazić, w jakim humorze zastał go ostatni kaftanik.

(Osobliwsze dziwo natury), które wszakże wymaga porządnej porcji wiary, miało wydarzyć się w Aradzie (na Węgrzech). Długi cybuch (nie wiadomo tylko z jakiego drzewa), który od roku już był w używaniu, wypuścił gałązki i okrył się znowu liściem! „Zdaje się to być niepodobnem do prawdy, powiada „Gazeta Aradzka“, i my sami wstrząsalibyśmy głową z niedowierzaniem, gdybyśmy nie oglądali własnymi oczyma tego szczególnego cybuchu. Rdzeni nie ma naturalnie w tym patyku ani odrobiny, bo zresztą musiała ją wyžreć nikotyna; a przecież żyje on i kwitnie. Przybawajcie botanicy i rozwiążcie tę zagadkę natury!“ Tak woła wspomniona gazeta, i jeżeli to nie jest figiel nieboszczyka Münchhausena, co mogłby nam wyjaśnić założony właśnie we Lwowie „Dziennik spirytystyczny“, jako mający bliskie koneksye z nieboszczykami, to chyba wypadaloby w tem upatrywać cudowny skutek autonomii zalitawskiej, która dozwala się rozwijać wszystkiemu, nawet starym cybuchom.

(Przykłady wieku matuzalowego). Dziwimy się dzisiaj, gdy się uda człowiekowi dożyć lat 90, a starzec stuletni to już istny kruk biały dla nas. Za szczególną też osobliwość donoszą z Lubelskiego, że w tych czasach umarł tam włościanin przeżywszy lat 104. A jakieżto przykłady długiego życia podają nam kroniki z dawniejszych czasów! Oto niektóre z nich:

W roku 1670 umarł w Anglii za czasów Karola II. w Yorkshire niejaki Henryk Jenkins, który urodził się za panowania Henryka VII., pamiętał bardzo dobrze, iż należał do wyprawy francuskiej, i jak poświadczają protokoły sądowe, stawał wielokrotnie w sądzie przez lat 140; umarł zaś w 169

roku życia swego. Żył więc pod 8 królami, nie licząc w to Kromwela. Przed śmiercią bawił się jeszcze rybołówstwem, a licząc sto kilkanaście lat przepływał najszersze rzeki bez wypoczynku. Wnuczka jego dożyła 113 lat.

W gminie De Gueures we Francji żył przy końcu zeszłego wieku starzec liczący już 126 lat, nazwiskiem Jean Dubois, który pomimo tak podeszłego wieku był jeszcze bardzo żważy i nawet tańczył na odpustach.

Nakoniec w Danii w pobliżu Kopenhagi zmarł w r. 1773 majtek, nazwiskiem Draakenberg, przeżywszy lat 146. Pięć razy w życiu zawierał śluby małżeńskie; gdy się żenił po raz ostatni, miał 111 lat, a owdowiawszy w 130 roku, zakochał się w 18letniej dziewczynie, ale ta odmówiła mu swojej ręki. To ubodło go tak mocno, że poprzysiągł nie żenić się więcej, i kronika powiada, że „wyjąwszy lekkie w tej materii uchybienia“ dotrzymał słowa.

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze wiele innych przykładów tego rodzaju, ale i te już są dostateczne, ażeby okazać, jak wielka zachodzi różnica co do fizycznej doskonałości rodu ludzkiego między dziś a niegdyś. Człowiek drobnieje ciałem widocznie coraz więcej; zbroja dawnych rycerzy przygniotłaby dziś do ziemi kilku ich potomków; a czy zyskał co na tej zmianie duch ludzki? Wątpimy. Dawniej stanowił każdy naród potężną duchową jednostkę; dziś rozdrobił je materjalizm na miliony jednostek, stojących obok siebie, jak cyfry w tablicy Pytagoresa, ale też i wartość ich moralna równa się wartości cyfry.

(Bracia siamscy). Już w jednym z dawniejszych zesztyłów wspominaliśmy, że tak zwani bracia siamscy przybyli teraz po raz drugi do Europy po części dla podratowania swoich finansów, a głównie dla zasięgnięcia rady najslawniejszych lekarzy, czy przymusowa ich spółka fizyczna, która sprzykrzyła się już obydwom, nie dałaby się rozwiązać bez narażenia ich życia na niebezpieczeństwo. Ponieważ zaś zachodzi możliwość, że osobliwsza para ta zaszczyci w przejeździe i nas swojemi odwiedzinami, przeto sądzimy, że pożądanem będzie dla czytelników naszych poznać bliżej istotę i historję tego fenomenu, który od kilkudziesięciu lat już zajmuje uwagę całego świata.

Kolebką tych bliźniąt jest Siam, i ztamtąd przywiózł ich przed czterdziestu laty okręt holenderski po raz pierwszy do Europy. Stanowią oni jedną całość, a przecież jest ich dwoje. Natura stworzyła ich dla siebie i uczyniła nierozdzielny; dwie dusze a jedna myśl, dwa ciała a jedna funkcja muszkułów i nerwów. Ukazanie się ich sprawiło wszędzie wielkie wrażenie, ale szczególnie obudzali oni ciekawość badaczy naukowych. Bo jakkolwiek są oni w każdym innym względzie całkiem samoistnie rozwinięci i zdolni do używania życia, jak inni ludzie, ogranicza przecież ich wolność osobistą nieprzełomna przeszkoda. Jestto więc w okolicy piersi, który przykuwa ich do siebie na zawsze. Ktoś odkrył te nieszczęśliwe istoty i sprowadził do Europy, ażeby pokazywać je za pieniądze. Łatwo pojąć, że przedsięwzięcie to opłacało się dobrze; więc też z Europy powieziono owych braci siamskich

dalej do Ameryki, a po niejakiem czasie zapomniano o nich zupełnie. Aż oto przed dwoma laty pojawiła się znowu wieść w dziennikach, że bliźnięta żyją dotąd, że gdzieś w południowej Ameryce posiadają znaczną plantację, i że nakoniec — co się wydawało najniepodobniejszym do prawdy — poženili się obadwaj i zostali nawet ojcami rodziny.

Zrazu uważano to wszystko za bajkę, ale dziś są to już fakta niezaprzeczane. Bracia siamscy przybywszy do Ameryki przed 40 laty, wyzwolili się z rąk korzystającego z ich nieszczęścia spekulanta, i poczęli myśleć o swojej przyszłości. Robili naturalnie wszystko razem. Pracowali, orali, młócili, strzelali, łowili ryby i grywali razem na skrzypcach i na flecie. Później trudnili się handlem domokrażnym, podróżowali, składali pieniądze i wreszcie nabyli razem plantację w południowej Ameryce. Potem się poženili z dwiema siostrami, córkami tamtejszego pastora, które obdarzyły obydwóch dziewięciorgiem dzieci. Jak się to stało, pozostanie zagadką; czy zakochali się równocześnie, nie wiadomo, jakkolwiek nie jest niepodobnem do prawdy; ale to pewna, że się poženili w jednym czasie. Przez wojnę amerykańską postradali jednak prawie całe swoje mienie, i byli zmuszeni udać się znowu do Europy, ażeby znaleźć utrzymanie dla swoich rodzin i zebrać pieniądze potrzebne na operację, której poddać się zamierzają.

Jakoż przebywają już od dłuższego czasu w Anglii i zasiągają rady najsławniejszych lekarzy europejskich. Dotąd nie

jest jeszcze ta kwestya rozstrzygniętą; idzie bowiem o to, czy nieszczęsny ich spójnik jest suchą tylko żyłą, czy też nitką żywotną, bez której nie mogliby istnieć obadwaj. Słychać jednak, że sławny lekarz francuski Nelaton oświadcza się za operacją. Ich więz jest bardzo krótki i łączy przeto bardzo blisko obadwa ciała. Szczęściem nie są oni bardzo otyli. Jeden jest niższy od drugiego i cokolwiek garbaty; nie mogą też oni stać na jednej i tej samej płaszczyźnie, lecz muszą poruszać się w formie pochylego kąta oddaleni o 70 stopni od siebie. Pomimo tej niedogodnej postawy załatwiają jednak wszelkie możliwe roboty z dość wielką łatwością. Powierzchność ich nie jest wcale ujmująca. Sterczące policzki, płowa brunatna skóra i płaskie oblicze wskazują pochodzenie mongolskie. Suknie noszą europejskie i mówią angielszczyzną amerykańską z mocną akcentacją. Zrośnięcie ich widać przez otwór w ubraniu w pobliżu piersi. Mają też oni rozmaite wspólne uczucia i potrzeby; gdy jeden jest chory, to i drugi choruje. Ale pomimo to są ich osobistości dość odmienne, by nie miało być pożądanem rozłączenie. W pewnych rzeczach mają się nawet wielce różnić ich zdania, a już najbardziej rozdzwaja ich ta myśl fatalna, że śmierć jednego mogłaby zabić i drugiego.

Co się z nimi stanie, nie omieszkamy donieść w swoim czasie. Teraz nadmieniamy tylko to jeszcze, że wkrótce udają się oni z Anglii do Francji i do Niemiec, a z czasem odwiedzą może i wschodnią Europę.

REBUS.



Znaczenie rebusu w VII. zeszytce „Strzechy“:
Kto wysoko lata, często nisko spada.

SZARADY.

I.

Pierwsza z trzecią gospodarzy
Plonem darzy;
Drugę z trzecią — idąc życia tego drogą —
Chcemy mieć błogą.
Wszystko razem gdy się złoży,
Da kraj żyźny i lud hoży.

II.

Pierwsza z drugą mówi śmieie
O jakimś kościele;
Trzecia sama powie tobie
O trzeciej osobie;
A wszystko razem
Gry jest obrazem,
Lub z zamierzchłych wiedzie toni
Człowieka i z berłem w dłoni.

Znaczenie szarady w VII. zeszytce „Strzechy“: *Kajetana.*

P o c z t a « S t r z e c h y ».

W Panu Z. M. w Krakowie: Z przysłanego opisu zamku mógłby być użytym tylko krótki wyciąg, jeżeli autor nie ma nic przeciw temu, ale i w takim razie potrzebujemy widoku tego zamku.

Druga część „BEZIMIENNEJ“ jest już w handlu.